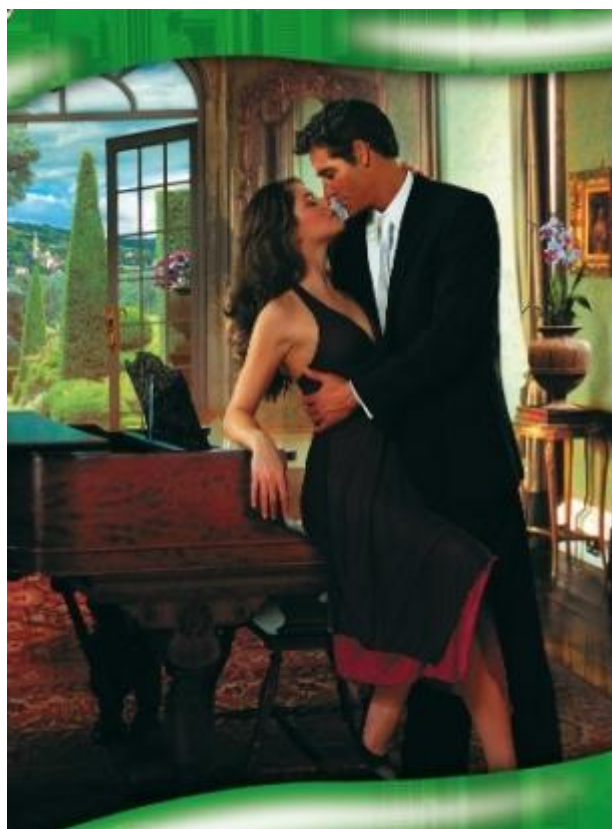




***Kate Hewitt***



***Pianistka  
i francuski hrabia***

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Oklaski ucichły i salę koncertową wypełniła pełna oczekiwania cisza. W takich chwilach Abigail Summers odczuwała elektryzujący dreszcz podniecenia.

Wzięła głęboki oddech, zawisała palcami nad klawiaturą fortepianu głównej sceny paryskiej Salle Pleyel, przymknęła oczy i zaczęła grać.

Muzyka wylewała się z jej duszy i spływała przez palce, napełniając salę przejmującymi dźwiękami sonaty Beethovena. Abby zapomniała o publiczności, zasłuchanej i oczarowanej. Wszyscy ci ludzie, którzy zapłacili po blisko sto euro za bilet na jej koncert, nagle jakby się rozplynęli i znikli, podczas gdy ją bez reszty zagarnęła muzyka - potężna siła, przenikająca jej ciało, umysł i duszę. Siedem lat koncertowania i lekcje gry na fortepianie od wczesnego dzieciństwa, nauczyły ją całkowicie koncentrować się na muzyce.

A jednak, w połowie *Appassionaty* coś zakłóciło jej doskonałą koncentrację. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ktoś ją obserwuje. Oczywiście, przyglądało jej się teraz kilka setek par oczu, ale to było coś innego. Ten ktoś, intuicyjnie wiedziała, że to mężczyzna - był inny, całkiem wyjątkowy. Czowała na sobie jego wzrok, chociaż nie rozumiała, jak to się dzieje. I dlaczego. I kto to może być.

Policzki jej pałały, czuła jakąś zmysłową przyjemność, będąc w centrum uwagi. Doświadczała tego pierwszy raz w życiu, nie była nawet pewna, czy to dzieje się naprawdę.

Bała się spojrzeć i tylko marzyła, żeby długi, dwudziestoczworominutowy utwór wreszcie dobiegł końca. Dopiero wtedy mogła podnieść wzrok i zobaczyć, kim jest tajemniczy nieznajomy.

A może go sobie tylko uroiła?

Kiedy wreszcie wybrzmiały ostatnie dźwięki muzyki, Abby ośmieliła się podnieść wzrok.

Dostrzegła go natychmiast, mimo blasku reflektorów i całego morza twarzy na widowni. Przyciągał ją jak magnes.

Na chwilę spotkali się wzrokiem, a jej umysł przez ten krótki moment zdążył zarejestrować kilka szczegółów: ciemne, zwichrzone włosy, ostre rysy twarzy, a przede wszystkim przenikliwe, płonące, niebieskie oczy.

Abby zdała sobie sprawę, że napięcie na sali opadło. Widzowie szeleścili programami, kręcili się niespokojnie na krzesłach, nie rozumiejąc, co się dzieje. Powinna przecież zacząć następny utwór, fugę Bacha, a tymczasem siedziała bez ruchu, jak zaczarowana.

Nie mogła sobie na to pozwolić ani chwili dłużej.

Odetchnęła głęboko i jeszcze raz zanurzyła się w muzykę, w piękno. A jednak nawet grając Bacha, nie umiała przestać myśleć o nieznanym i zastanawiała się, czy go jeszcze zobaczy.

Jean Luc Toussaint siedział na widowni w pełnym napięciu oczekiwaniu. Było to uczucie, jakiego nie doświadczał już od dawna, od wielu miesięcy, a może i lat. Właściwie od dłuższego czasu nie czuł nic. A jednak w momencie, gdy na scenę weszła światowej sławy młodziutka pianistka, Abigail Summers, poczuł, że budzi się w nim nadzieja, a jego dawne ja, w zdumiewający sposób, z prochu i nicości, powraca do życia.

Widział ją oczywiście na zdjęciach, lecz rzeczywiste wrażenie przekroczyło wszelkie oczekiwania. Kroczyła dumnie wyprostowana, uczesana w elegancki kok, ubrana w szeleszczącą, czarną suknię wieczorową. Zaskoczyła go własna reakcja na jej widok, a uczucie nagłej nadziei, nawet radości, było czymś niewiarygodnym.

Próbował nad tym zapanować. Przecież Suzanne nie żyła od pół roku, a on zaledwie przed sześcioma godzinami odnalazł jej listy i poznał prawdę na temat jej śmierci. Przepelniało go dręczące poczucie winy.

Opuścił zamek i wyjechał do Paryża, unikał nawet swego mieszkania i wszelkich śladów dawnego życia. Przyszedł na ten koncert wiedziony impulsem; zobaczył plakat i zapragnął zatracić się w muzyce, chociaż na krótki czas oderwać się od zmartwień i problemów, po prostu przestać myśleć.

Nic nie czuł, był wypalony wewnątrz, odrętwiały... do chwili, gdy Abigail Summers pojawiła się na scenie.

A kiedy grała... Appassionata była jednym z jego ulubionych utworów. Rozumiał frustrację Beethovena wobec pogłębiającej się niemocy, w pewnym sensie czuł się podobnie, gdy życie stopniowo wymykało mu się z rąk - a uświadomił to sobie dopiero wtedy, gdy było już za późno.

Abigail Summers grała tak pięknie, z taką energią i uczuciem, że Luc z przejęcia zaciskał dłonie, śledził ją płonącym wzrokiem, jakby chciał sprawić, że podniesie głowę i na niego spojrzy.

I tak się stało. Ich spojrzenia spotkały się i Luc miał wrażenie, że się rozpoznali, choć przecież nie widzieli się nigdy przedtem. W tej właśnie chwili świat jakby wrócił na swoje miejsce, a on sam poczuł się uzdrowiony.

Wróciła nadzieja.

Siła emocji, które nim nagle owładnęły, była twórcza i budująca, lecz jednocześnie go przerażała. Czuł tak wiele, lecz wciąż nie dość. Pragnął zapomnieć to wszystko, co się wydarzyło, wszystkie swoje błędy popełnione w ciągu minionych sześciu lat. Chciał pogрузić się w błogosławionym zapomnieniu, zatracić bez reszty w widoku tej kobiety, choćby nie miało to żadnej przyszłości.

Chwila pełna napięcia przedłużała się, publiczność zaczynała się niepokoić, a wtedy pianistka zawahała się, niemal niezauważalnie, i uderzyła w klawisze. Czar prysł.

Luc oparł się w fotelu i poddał muzyce. Tamto jedno spojrzenie sprawiło, że znów zapragnął związać się z kobietą, z tą kobietą, prawdziwie, szczerze i głęboko. To było marzenie o miłości, jakiej nigdy dotąd nie przeżył. Zaraz jednak powróciło dobrze znane uczucie. Jak mógł nawet myśleć o nowym związku, skoro nie miał nic, zupełnie nic do zaoferowania?

Abby opadła na krzesło przed lustrem w swojej garderobie, odetchnęła i przytknęła oczy. Koncert ciągnął się w nieskończoność. Podczas przerwy chodziła w tę i z powrotem, niespokojnie i z trudem zebrała się w sobie na tyle, by wykonać drugą połowę koncertu. Gdyby był przy niej ojciec, a zarazem impresario, kazałby jej napić się wody, zrelaksować, skoncentrować na muzyce. Zawsze powtarzał: myśl o muzyce, Abby, tylko

o muzyce. Nie wolno jej było myśleć o niczym innym i do dziś wieczór nie zdawała sobie nawet sprawy, że mogłaby się sprzeciwić.

To widok tego mężczyzny coś w niej poruszył, obudził pragnienia, jakich dotąd nie odczuwała. Chciała na niego patrzeć, rozmawiać z nim, nawet dotknąć. Kim on był?

Drżała z niepokoju, tęsknoty i lęku. Ojca przy niej nie było, trochę chory, został w hotelu, a ona od razu zapomniała o muzyce. Myślała o tym mężczyźnie. Czy przyjdzie? Czy będzie się starał z nią zobaczyć? Zawsze była jakaś grupka wielbicieli pragnących przyjść do niej za kulisy. Niektórzy przysyłali kwiaty, gratulacje, zaproszenia. Abby przyjmowała prezenty, natomiast nie przyjmowała zaproszeń. Taka była surowa strategia jej ojca. Uważał, że pewna niedostępność to warunek jej atrakcyjności. Przez siedem lat utrzymywał ją w izolacji od publiczności, od życia, budując jej image - jako utalentowanej i nieosiągalnej Abigail Summers, cudownej, młodziutkiej pianistki.

Cudowne Dziecko, pisano o niej w prasie. Nienawidziła tego określenia; sprawiało, że czuła się jak tresowany pudel albo jakieś egzotyczne zwierzę. Zwiększało jeszcze jej poczucie izolacji, na którym tak zależało jej ojcu.

Teraz zapragnęła z tym zerwać, chciała, żeby ktoś ją w końcu odnalazł, poznał. On.

Resztkami zdrowego rozsądku nakazywała sobie spokój i powściągliwość. Przecież widziała go tylko przez moment. A jednak te parę sekund wywarło na niej niezatarte wrażenie. Jeszcze nigdy tak się nie czuła. I bardzo pragnęła zobaczyć go znowu. Czy przyjdzie?

Usłyszała pukanie i za chwilę w drzwiach garderoby pokazał się ktoś z personelu.

- *Mademoiselle Summers, recevez-vous des visiteurs?*

- Ja...

W ustach jej zaschło, kręciło jej się w głowie. Czy przyjmie gości? Nigdy tego nie robiła. Przekaż im podpisany program, Abby, mówił ojciec. Nie jesteś taką sobie zwykłą dziewczyną, musisz się cenić.

- Ile ich jest? - zapytała płynną francuszczyzną.

- Kilka osób... może kilkanaście - odpowiedziała kobieta. - Oczywiście zależy im na pani autografach.

Abby poczuła lekkie ukłucie rozczarowania. Intuicja mówiła jej, że tamten mężczyzna nie potrzebuje jej autografu. To nie był zwykły wielbiciel. On był... kim on był?

Za wszelką cenę starała się odepchnąć myśl o nim, chociaż tak bardzo chciała go zobaczyć. Tymczasem, wbrew dotychczasowym zasadom, poleciła wpuścić gości do garderoby. Po raz pierwszy postąpiła wbrew woli ojca, lecz jakoś jej to nie przeszkadzało. Miała wrażenie, że ten wieczór zmienił coś w jej życiu nieodwołalnie.

Wygładziła na sobie suknię, przyczesła włosy i przejrzała się w lustrze. Zobaczyła swoją twarz, teraz niemal widmowo bladą, i wielkie, szare, nienaturalnie błyszczące oczy.

Kiedy znów usłyszała pukanie do drzwi, przywołała na twarz uśmiech, chociaż serce w niej zamierało.

To nie był on.

Garderobę wypełniła grupka rozgadanych kobiet w średnim wieku wraz z mężami, podającymi jej programy do podpisania.

Czego właściwie oczekiwała? Że on znajdzie ją za kulisami i jak w bajce poda szklany pantofelek? Czy naprawdę spodziewała się, że będzie jej szukał?

Nagle cały tamten incydent wydał jej się śmieszny i nierealny. Światła reflektorów były tak ostre, że nie byłaby w stanie rozróżnić twarzy na widowni. Czy ten mężczyzna w ogóle istniał? Może go sobie wymyśliła?

Abby poczuła, że robi jej się gorąco z upokorzenia. Grono wielbicieli wykruszyło się i po chwili została sama. Samotna.

To słowo zaabsorbowało na chwilę jej uwagę. Prowadziła aktywne, satysfakcjonujące życie, była pianistką o międzynarodowej sławie. Mówiła płynnie trzema językami, jeździła po świecie, miała całe zastępy wielbicieli swego talentu - gdzie tu miejsce na samotność?

A jednak.

Wolno i niechętnie sięgnęła po swój znoszony płaszcz, dziwnie niepasujący do eleganckiej sukni wieczorowej. Słyszała, jak na zewnątrz nocny stróż zaczyna zamiatać korytarz, a inni pracownicy opuszczają gmach, odchodząc do własnych zajęć.

Abby zaczęła się zastanawiać, co ma teraz robić: zamówić taksówkę i wrócić do hotelu? Wypije szklanekę gorącego mleka, przez chwilę porozmawia z ojcem o tym, jak minął wieczór, i jak grzeczna dziewczynka położy się spać.

Nagle zapragnęła zerwać ze szczegółowym scenariuszem i sposobem, w jaki ojciec od lat reżyserował jej życie. Miała już dość roli, którą jej wyznaczył. Spotkanie tego mężczyzny, kimkolwiek był, obudziło w niej niespodziewany głód życia. Nawet gdyby miało to trwać tylko jedną noc.

Westchnęła, chcąc otrząsnąć się z tych pragnień, ale jak? Miała dwadzieścia cztery lata, była sama w Paryżu, a przed nią był wieczór, z którym nie wiedziała, co zrobić.

Inspicjent, *monsieur* Dupres, zastukał i zajrzał do garderoby z pytaniem, czy ma wezwać taksówkę.

Abby już chciała odpowiedzieć twierdząco, ale ugryzła się w język.

- Nie, dziękuję - rzekła, potrząsając głową. - Jest piękny wieczór, chętnie się przejdę.

Inspicjent ze zdziwieniem uniósł brwi i wycofał się bez dalszych komentarzy.

Dopiero teraz, w miłym poczuciu, że postawiła na swoim, spokojnie wyszła na ulicę. Rzeczywiście, siąpił drobny deszcz i było chłodno. Na pustej teraz rue de Faubourg St. Honoré była zupełnie sama. Chodnik lśnił od wilgoci, a przejeżdżające taksówki omiatały ulicę żółtawym światłem.

Rozejrzała się wokoło, zastanawiając się, co robić. Znajdowała się w odległości niespełna kilometra od hoteliku, w którym mieszkali. Mogła oczywiście się przejść, ale było jej dziwnie przykro. Nie tak miał wyglądać jej pierwszy wieczór wolności. Chciała doświadczyć życia, a tymczasem mokła tu sama na deszczu. Żałosne.

Abby szła, z każdą chwilą czując się bardziej samotna. Jakiś przechodzień minął ją szybkim krokiem, gdzieś w bramie tuliła się para kochanków, dama w futrach i klejnotach wyszła z rzęsiście oświetlonego holu eleganckiego hotelu.

Zatrzymała się gwałtownie. Przez oszklone drzwi widziała wewnątrz wyłożone marmurem i zwisające z sufitu kryształowe żyrandole. Zanim zdążyła pomyśleć, weszła w gwar hotelowego holu. Przez moment stała zdezorientowana, niepewna co dalej, lecz zaraz podbiegł do niej usłużny boy.

- Szukam baru.

Młody człowiek kiwnął głową i wskazał jej bar. Było to nastrojowe pomieszczenie o ścianach obitych ciemną boazerią. Nawet kiedy już usiadła na wysokim stołku na wprost barmana wycierającego kieliszki, wciąż nie wiedziała, co tu robi... i dlaczego tu przyszła.

- Można pani coś podać? - zaproponował.

- Tak - podjęła skwapliwie.

Piła już wino i szampana, czasem przy jakiejś okazji zdarzało jej się wypić koktajl. Teraz zapragnęła czegoś nowego.

- Poproszę martini - powiedziała.

- Samo czy z lodem?

Właściwie nie wiedziała, ale przypomniała sobie jak przez mgłę, że do martini pasują oliwki.

- Samo, z oliwką - zażądała stanowczo.

Barman odwrócił się, a Abby dopiero teraz rozejrzała się po barze. Poza nią była tu tylko jedna osoba, mężczyzna siedzący na drugim końcu sali.

Jeszcze zanim zdążyła mu się przyjrzeć, już wiedziała. To odkrycie przeszło ją nagłym dreszczem.

To był on.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Wiedziała, że się nie myli. Była w takim napięciu, że każdy nerw, każda komórka postawione były w stan najwyższej gotowości. Serce biło jej teraz w innym rytmie, wolno i głucho. Mężczyzna siedział na ostatnim stołku, z opuszczoną głową; przed sobą miał kieliszek whisky.

Potem podniósł głowę, a Abby wstrzymała oddech. Znowu spotkali się wzrokiem, jak wtedy na koncercie. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Trwało to dłużej, niżby wypadało dwojgu obcym osobom siedzącym w barze. Abby była jak czarowana, zdawało jej się, że czas stanął w miejscu. Czekwała, co będzie dalej.

- Z bliska jest pani jeszcze ładniejsza.

Mówił po angielsku z lekkim francuskim akcentem i najwyraźniej ją poznał. Zaskoczyło ją to, chociaż oczywiście ludzie ją rozpoznawali. Była przecież „Cudownym Dzieckiem”. A jednak teraz, rozplómiowana jego ognistym spojrzeniem wiedziała, że nie patrzył na nią jak na cudowne dziecko, nawet nie jak na pianistkę. Patrzył na nią jak na kobietę i to było niezwykle.

- Pamięta mnie pan - wyszeptała drżącym głosem.

- Oczywiście, że pamiętam - odparł, unosząc brew.

Niewyraźny uśmiech błędził wokół jego ust, czał się w oczach.

- A teraz widzę, że i pani mnie poznaje.

Zarumieniła się jeszcze bardziej i odwróciła wzrok. Na szczęście barman podał jej akurat zamówionego drinka z oliwką nadzianą na wykałaczkę, mogła więc przez moment czymś się zająć.

Wypiła duży łyk martini i nie mając doświadczenia z alkoholem, natychmiast się zachłysnęła. Mężczyzna tymczasem przesiadł się na stołek tuż przy niej, tak blisko, że poczuła ciepło jego ciała i poczuła leśny zapach jego wody kolońskiej.

- Już lepiej? - zapytał spokojnie, ale odniosła wrażenie, że trochę się z niej naśmiewa.

Wytarła oczy i głęboko odetchnęła.

- Tak. Chyba wpadło mi nie tam, gdzie trzeba.

- Zdarza się - mruknął, ale wiedziała, że nie dał się nabrać.

- Prawdę mówiąc, nigdy jeszcze nie piłam martini - przyznała uczciwie. - Nie wiedziałam, że jest takie... takie mocne.

Teraz, kiedy był tuż przy niej, odważyła mu się wreszcie przyjrzeć.

Był wysoki, miał ponad metr osiemdziesiąt, co sprawiało, że czuła się przy nim jak karzełek.

Ciemne, dość długie włosy zaczynały mu już lekko siwieć na skroniach. Ostro zarysowane kości policzkowe, intensywnie błękitne oczy i mocna szczęka dawały razem wrażenie siły, lecz zarazem cierpienia. Wyglądał na człowieka doświadczonego przez życie, może po jakiejś osobistej tragedii.

- Więc dlaczego zamówiła pani martini? - zapytał.

- Wydawało mi się to wyszukane i eleganckie - wyznała odważnie. - Śmieszne, prawda?

Przekrzywił głowę i uśmiechnął się szerzej. Omiótł spojrzeniem jej znoszony płaszcz, wystającą spod niego czarną jedwabną suknię i buty na wysokim obcasie.

- Rzeczywiście - przyznał. - Szczególnie że i tak jest pani wystarczająco elegancka. Abby zakrztusiła się znowu, tym razem ze śmiechu.

- Ależ z pana pochlebca, panie...

- Luc.

- Panie Luc?

- Po prostu Luc - rzekł zdecydowanie. - A ty masz na imię Abigail, wiem.

- Abby.

Nagle poczuła, że robi jej się ciepło na sercu. Coś ważnego działo się między nimi, tutaj, w tym barze. Odnaleźli się nawzajem, zupełnie jak w bajce, a jednak to była prawda.

- Abby - mruknął. - Oczywiście.

Tak jakby znali się od dawna, jakby tylko czekali na ten moment. Czuła, że z nią tak właśnie było.

Ponieważ martini jej nie służyło, Luc zamówił szampana.

Chociaż koncertowała już ładnych kilka lat, jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się coś podobnego. W ogóle mało się zdarzało, oprócz dokładnie zaplanowanych spotkań czy rozdawania autografów. Czuła się wtedy, jakby była jakimś egzotycznym stworzeniem w zoo, któremu wszyscy się przyglądają, podziwiają, a potem zostawiają je i odchodzą.

Żyłam jak w klatce, uświadomiła sobie nagle z przerażeniem. Przez całe życie w klatce, aż do tej pory.

Teraz nagle poczuła się wolna.

Luc zaprowadził ją do stolika w zacisznym kącie pustego baru, a kelner przyniósł przykurzoną butelkę szampana, która musiała kosztować krocie, i napełnił im kieliszki. Wypili toast za nieoczekiwane wydarzenia i nagle Abby wpadła w panikę, rozpaczliwie poszukując tematu do rozmowy.

Grywała w salach koncertowych niemal wszystkich stolic Europy, umiała dać sobie radę na lotniskach, w taksówkach i w hotelach, lecz przy tym mężczyźni czuła się skrepowana, zakłopotana i niepewna.

Zerknęła na niego ukradkiem i dostrzegła w jego twarzy wyraz surowej stanowczości dziwnie kontrastujący z żartobliwym tonem i kpiącym uśmiechem.

Miał w sobie jakąś twardość i mrok, których nie rozumiała i wołała nie zgłębiać.

- Nie sądziłem, że się jeszcze spotkamy - rzekł, dopijając szampana. - To chyba dzieło opatrności, że tu przyszedłaś, prawda?

Opatrzność. Zrządzenie losu czy Boga.

Abby lekko wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem, dlaczego tu przyszedłam - powiedziała. - Zwykle po koncercie wracam taksówką prosto do hotelu.

- Ale tym razem tak nie zrobiłaś.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo...

Jak miała mu wyjaśnić, że ten jeden moment, gdy go ujrzała na widowni, wzburzył ją i zmienił do głębi, sprawił, że zaczęła odczuwać pragnienia, jakich nigdy dotąd nie miała.

- Czułam jakiś niepokój - wyjaśniła nieporadnie, ale Luc kiwnął głową na znak, że rozumie.

- Ja, kiedy cię zobaczyłem, poczułem nagle coś, czego nie czułem od dawna - rzekł, bawiąc się kieliszkiem od szampana.

- Co? Co to było? - zapytała z przejęciem.

- Nadzieja - odparł z zaskakującą szczerością i delikatnie odgarnął jej kosmyk włosów z policzka. - A ty nie czułaś tego, Abby? Kiedy siedziałaś przy fortepianie i zobaczyłaś mnie? - Ja nigdy... - przerwał. - To było jak porażenie prądem, jakiś czar.

- Tak - wyszeptała z trudem.

- To dobrze. Byłoby raczej smutne, gdyby tylko jedno z nas to czuło.

Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech. Znów napełnił kieliszki szampanem.

- Byłaś zadowolona ze swojego dzisiejszego występu?

- Nie wiem. Niewiele z niego pamiętam.

- Prawdę mówiąc, ja też. Kiedy cię zobaczyłem na scenie, wszystko inne przestało się dla mnie liczyć. Czekałem tylko na moment, kiedy będę mógł z tobą porozmawiać. Nie przypuszczałem, że mnie to spotka.

- No to dlaczego...

Abby przygryzła wargę, żeby się nie zdradzić.

- Dlaczego nie przyszedłem do ciebie po występie? - Domyślił się.

- Tak - odpowiedziała szeptem.

Przez chwilę wpatrywał się w kieliszek, jakby się namyślał.

- Nie wydawało mi się to właściwe - rzekł po prostu.

Abby nie wiedziała, jak mu powiedzieć, że oczekiwała, że do niej przyjdzie. Wydawało się to śmieszne i absurdalne. Przecież nic o sobie nie wiedzieli, wymienili tylko spojrzenia, a teraz pili razem szampana.

- To się wydaje... - zaczęła.

- Nierealne? Chyba tak. - Luc spowaźniał. - Ale może teraz jest czas na chwilę prozy. Opowiedz mi o sobie.

Zakłopotana mruknęła, że w programie była przecież jej notka biograficzna. Luc chciał, żeby opowiedziała mu, kim jest naprawdę, w głębi duszy, ale jej wydawało się to zbyt trudne.

- No dobrze. - Nie chciał jej męczyć.

Przypomniał sobie, że pewnie jest głodna. Przywołał kelnera i szybko coś zamówił, żeby móc dalej rozmawiać.

Wypytywał Abby, jaki jest jej ulubiony kolor, czy boi się węży i pajaków, czy jako dziecko miała psa albo kota, albo rybki? Ona jednak nigdy nie miała żadnych zwierząt, a węży i pajaków pewnie by się bała, ale raczej nie miała z nimi do czynienia.

Teraz ona miała pytać.

- Mam powiedzieć, czy boję się pajaków - podsunął żartobliwie Luc.

- Nie, nie. Ja mam inny zestaw pytań.

Namyślała się przez chwilę. Co właściwie chciała o nim wiedzieć? Chyba wszystko. Chciała go poznać.

- Czy ty chrapiesz? - wypaliła i natychmiast się zarumieniła.

- Czy chrapię? - powtórzył, unosząc brwi ze zdumienia. - Co za pytanie? Skąd niby mam to wiedzieć? W każdym razie nikt mi na to nie zwracał uwagi.

- Aha. No... to dobrze.

Abby bawiła się serwetką. Wstyd jej było, że wciąż się rumieni, ale nic nie mogła na to poradzić.

- Jesteś strasznie niespokojna - zauważył, dotykając jej dłoni.

- Tak - przyznała. - Ja nie... ja zwykle nie spotykam się z obcymi mężczyznami.

- No to może i dobrze - odpowiedział. - Ale mogę ci przyrzec, że ze mną jesteś bezpieczna.

Mówił to tak otwarcie i szczerze, że nie mogła mu nie wierzyć.

Kelner cicho i dyskretnie podał im jedzenie: cieniutkie jak papier płatki wołowiny ozdobione wachlarzem szparagów. Kiedy odszedł, mogli dalej rozmawiać.

- Czy byłeś zaskoczony, jak mnie zobaczyłeś? Tu, w barze? - zapytała.

- Pojawiłaś się jak zjawą - przyznał. - A jednocześnie przeczuwałem, że przyjdiesz, chociaż uświadomiłem to sobie dopiero na twój widok.

- Ja czułam się podobnie - wyszeptała.

- Może po prostu pewne rzeczy muszą się zdarzyć - rzekł powoli.

Rozmowa zrobiła się tak poważna, że Abby zapragnęła przywrócić jej poprzedni, żartobliwy ton.

- A więc wiem, że nie chrapiesz, ale właściwie nic poza tym - powiedziała już śmielej niż poprzednio. - No i że jesteś Francuzem.

- Tak.

- Ale mówisz świetnie po angielsku.

- Tak jak ty po francusku - odwzajemnił komplement.

- Nigdy przedtem nie słyszałeś, jak gram.

- Nie. Jesteś znakomitym detektywem.

- Nie mieszkasz w Paryżu?

- Nie.

- Jesteś bogaty - dodała, nabrawszy nieco śmiałości.

Luc wzruszył lekceważąco ramionami

- Mam tyle, że mi wystarcza - powiedział. - Ty, jak sądzę, też.

Abby kiwnęła głową. Rzeczywiście, była na tyle zamożna, że nie musiała się o nic martwić. Odkąd, jako siedemnastoletnia dziewczyna, zaczęła koncertować zawodowo, ojciec zarządzał jej finansami. Nie miała pojęcia, ile pieniędzy posiada, ani na jakich kontach. Ojciec dawał jej pieniądze na jej własne wydatki i to jej wystarczało. Zresztą nigdy nie miała wielkich potrzeb; lubiła chodzić do muzeów, wypić tam małą kawę, czy kupić książkę. Stroje zwykle wybierała jej stylistka, która dbała także o jej fryzurę, makijaż i paznokcie. Jadała w restauracjach hotelowych, czasem w pociągach. To, że żyła tak skromnie, nagle napełniło ją smutkiem.

Luc natychmiast zauważył, że posmutniała, lecz ona nie chciała się z tego tłumaczyć. Jak zresztą miała mu wyjaśnić, że była zadowolona ze swojego życia - aż do dzisiaj? Dopiero przy nim, kiedy nagle poczuła, że naprawdę żyje, dotarło do niej, jak pustą i jałową egzystencję wiodła do tej pory. Tak, jakby całe jej dotychczasowe życie było czekaniem na to spotkanie. Z nim.

- Skoro nie jesteś z Paryża, to skąd jesteś? - zapytała.

Milczał przez chwilę i odniosła wrażenie, że nie chce jej tego powiedzieć.

- Z Langwedocji, to na południu Francji - rzekł w końcu.

- Nigdy tam nie byłam - zauważyła.

- Tam nie ma sal koncertowych - skwitował z lekkim uśmiechem.

Jej życie przebiegało w przestrzeni wyznaczonej przez sale koncertowe: Paryża, Londynu, Berlina, Pragi, Mediolanu, Madrytu. Widziała już tyle wspaniałych miejsc, mieszkała w tylu hotelach, że zdążyło jej to spowszednieć. Ale Langwedocja...? Zastanawiała się, czy Luc ma willę, czy może zamek?

Nie wiadomo dlaczego wyobraziła sobie nagle wielki, wiejski dom, zbudowany z kamienia i kryty dachówką. Wokół niego falowało łagodnie pole lawendy. Chyba pono siła ją wyobraźnia.

- Podoba ci się tam? - zapytała.

- Kiedyś mi się podobało - rzekł niechętnie; widać było, że trudno mu o tym mówić. Zaraz też skierował rozmowę na nią. - Dość już o mnie. Teraz ty opowiedz mi o sobie.

Abby uśmiechnęła się, trochę speszona. Wyglądało na to, że żadne z nich nie chce zbyt wiele mówić na swój temat.

Luc chciał wiedzieć, dlaczego Appassionata należy do jej ulubionych utworów. Przeczytał to w jej notce biograficznej, a tak się składało, że i on ten utwór szczególnie sobie cenił.

- Appassionata jest piękna, a zarazem smutna - odpowiedziała Abby po namyśle. - Ja często tak właśnie się czuję - wyznała mimo woli.

Kiedy już powiedziała to na głos, musiała przyznać w duchu, że chociaż kochała muzykę i grę na fortepianie, to jednak życie nie układało jej się tak, jak chciała. Brakowało w nim czegoś bardzo istotnego.

Czyżby oczekiwała, że znajdzie to tutaj? U tego mężczyzny?

Kelner zebrał talerze i zniknął bezszelestnie. Abby uświadomiła sobie, że czas mija, chyba zbliżała się północ. Jeżeli ojciec nie śpi, to na nią czeka. Miała nadzieję, że śpi. Był chory, pewnie wziął coś na sen. A zresztą dlaczego miałby się niepokoić, skoro zawsze po koncercie wracała prosto do hotelu?

A kiedy wróci dzisiaj? Jak zakończy się ten wieczór? Te pytania napępniały ją smutkiem i niepokojem, bo wcale nie chciała, żeby się skończył. To był czas wykradziony z życia określonego przez muzykę i obowiązek, ale Abby zapragnęła, by ten czas rozciągnął się w nieskończoność.

- O czym myślisz? - zapytał Luc. I sam odpowiedział: - O tym, że czas mija? I że zostało nam najwyżej kilka godzin?

- Skąd wiesz?

- Bo ja myślę o tym samym - odparł smutno. - Może tylko tyle jest nam przeznaczone.

- Nie! - wykrzyknęła spontanicznie. - Nie chcę, żeby ten wieczór się skończył.

- Ja też nie - odpowiedział cicho i dodał, zmieniając ton: - Więc niech się nie kończy! Przecież mamy przed sobą jeszcze cztery dania. To jest Francja - zażartował.

A kelner jak na zawołanie pojawił się zaraz z półmiskiem pełnym ziół i warzyw.

Żadne z nich nie myślało jednak o jedzeniu. Czas mijał im na miłej, lekkiej rozmowie przy winie i kolejnych smakowitych potrawach. Abby odważyła się nawet spróbować ślimaków.

- Gdybyś mogła zrobić, co tylko zapragniesz, to co byś chciała? - zagadnął niespodziewanie Luc.

Abby była już w tak dobrym nastroju, że odpowiedziała bez wahania:

- Chciałabym puszczać latawca albo nauczyć się gotować.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu zdziwienia.

- Puszczać latawca? Naprawdę?

- Kiedy byłam mała, często widywałam, jak dzieci puszczały latawce na Hampstead Heath.

- Dzieci? Ty nie?

- Ja zawsze tylko tamtędy przechodziłam po drodze na lekcje fortepianu. Nie miałam czasu.

Czuła, że zaraz powie za dużo. Na szczęście pojawił się kelner z deserem i mogła w porę przerwać zwierzenia.



- No i chciałabym nauczyć się gotować, bo tak miło jeść dobre jedzenie, a ja sama nie umiem nic porządnie zrobić - dokończyła. - A ty? Gdybyś mógł zrobić, co tylko zechcesz, co by to było?

- Chciałbym umieć cofnąć czas - stwierdził. - W ten sposób mógłbym spędzać z tobą ten wieczór wciąż na nowo, od początku.

Abby uśmiechnęła się, chociaż podejrzewała, że chodziło mu jednak o coś innego.

A wieczór nieuchronnie zmierzał ku końcowi. Kiedy na stole pojawiły się ptifurki, Abby pomyślała, że za kilka minut, może za kwadrans, będzie musiała pożegnać się i wyjść. Złapie jakąś wolną taksówkę na rue du Faubourg St. Honoré i pojedzie do swojego hotelu, oddalonego o niecały kilometr. Potem zapłaci taksówkarzowi i będzie się starała jak najszybciej przemknąć przez opustoszały hol, żeby uniknąć domyślnych spojrzeń obsługi. I mogła tylko się modlić, żeby odźwierny nie powiedział następnego dnia jej ojcu:

- *Mademoiselle est revenue trop tard...*

A potem zapomni o tym wieczorze i o Lucu, który stanie się niebawem odległym, niewyraźnym wspomnieniem... Chyba że... Ta myśl była nagłym wstrząsem. Przecież ten wieczór nie musi skończyć się w barze. Mogą pójść gdzie indziej, gdzie jest przytulnie i bezpiecznie. Na przykład do jego pokoju. W końcu byli w hotelu. Czy Luc tu właśnie się zatrzymał? Nagle poczuła, że w głowie jej się kręci od pytań. Czy ona, dziewczyna, która nie miała doświadczenia nawet w całowaniu, rozważała teraz perspektywę spędzenia nocy z mężczyzną? Jednorazowej przygody?

A przecież nie byłoby w tym nic złego, przecież już się znali. Odnaleźli w sobie nawzajem bratnie dusze. Niemal wzdrygnęła się na ten banał.

Luc delikatnym gestem dotknął jej dłoni.

- O czym myślisz, Abby? - zapytał.

- Że nie chcę wracać do domu - wypaliła. Czuła, że się rumieni, ale nagle przestało ją to obchodzić. - Chcę zostać tu z tobą.

- Jest już późno, powinnaś wracać - powiedział z wyraźnym żalem.

Kurczowo chwyciła go za rękę, a on delikatnie i czule pieścił jej dłoń.

- Czy jest jakiś powód, dla którego nie możemy... być razem? - zapytała cicho, bojąc się spojrzeć mu w twarz. - Nie jesteś... żonaty?

- Nie - odparł. - Nie jestem żonaty.

- A może z kimś się spotykasz?

- Nie mam nikogo - odpowiedział po prostu.

- Dobrze.

Abby zaczerpnęła powietrza, zebrała całą swoją odwagę, popatrzyła mu w oczy i powiedziała z uśmiechem:

- W takim razie masz mnie.

TLR

## ROZDZIAŁ TRZECI

Widział, że jest zdenerwowana, i poczuł ukłucie żalu, że pozwolił sprawom zajść za daleko. To spotkanie w barze tak go zaskoczyło i ucieszyło, że stracił kontrolę nad sytuacją, zdawało mu się, że to zrządzenie opatrności. A teraz Abby powierzała mu siebie i to był największy dar.

Bez trudu mógł to sobie wyobrazić. Już niemal widział ją w królewskim apartamencie, bo to było jedyne godne jej otoczenie, widział też oczyma wyobraźni, jak delikatnie zsuwa z niej jedwabną suknię wieczorową i... ogarnęło go pożądanie.

Tak bardzo chciał zatracić się w tej kobiecie - choć na krótko, na tę jedną noc. No bo przecież nie miał do zaoferowania nic więcej. Jego serce było jak skamieniałe i tylko w obecności Abby budziło się do życia. Wiedział, że to za mało, aby zbudować coś trwałego, i właśnie dlatego ów cudowny wieczór musiał dobiec końca - już, teraz. Dla dobra Abby.

Spróbował się uśmiechnąć, ale nie był w stanie. Tak bardzo chciał ją zatrzymać.

- Czy ty wiesz, co mówisz? - zapytał.

- Oczywiście. Inaczej bym tego nie powiedziała - rzekła odważnie.

Bała się, co będzie dalej, bo Luc miał w sobie jakiś smutek i żal, jakby otaczała ich atmosfera nieuchronnego rozstania.

- Jesteś piękną kobietą - zaczął cicho.

- Ale...

- Nie chcę cię zranić.

- Nie zranisz mnie.

Abby zdawała sobie sprawę, że szarżuje, może to było z jej strony głupie. Wiedziała jednak, że wszystko może być tylko lepsze, czy choćby bardziej znośne niż rozstanie z Lukiem i zerwanie tej cudownej nici porozumienia, która między nimi powstała.

Luc westchnął ciężko i kiwnął głową. Abby czekała. Potem podniósł się z miejsca.

- Dokąd idziesz? - zapytała niespokojnie.

- Pytanie brzmi raczej: dokąd idziemy? - odpowiedział.

Abby posłusznie pozwoliła wyprowadzić się z baru. Potem przez krótką chwilę czekała, podczas gdy Luc odbył błyskawiczną rozmowę z recepcjonistą i po kilku sekundach już szli oboje w stronę wind.

To wszystko działo się tak szybko, że z trudem mogła uwierzyć, że to prawda. W końcu ledwie się zdążyli poznać, a jednak...

A jednak знаła go lepiej niż kogokolwiek przedtem. I siła pragnienia była w niej tak wielka, że nie mogła się już wycofać. Mimo to, nie potrafiła pozbyć się poczucia nierealności tego, co się z nią działo.

Winda zatrzymała się na najwyższym piętrze; wysiadało się wprost do apartamentu, który zajmował całe piętro.

Abby zatrzymała się w progu i ogarnęła spojrzeniem wewnątrz: sofy obite aksamitem, połączane stoliki, miękki turecki dywan. Była onieśmielona i niepewna, znikła cała jej niedawna brawura.

Wiedziała, że to nie wykwintne wnętrze tak ją zbiło z tropu, w końcu jako sławna pianistka zdążyła zaznać luksusu. Nie, to nie chodziło o apartament, tylko o tego mężczyznę. Ukradkiem podziwiała jego smukłą, muskularną sylwetkę i na sam widok przechodził ją dreszcz.

- Nie wejdiesz do środka? - zapytał żartobliwie.

- Ja... - zająknęła się. - Nie jestem pewna.

- Abby... czy ty się boisz?

Podszedł i przytulił ją.

- Nie... właściwie nie.

Próbowała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej to wychodziło.

- Nie boję się ciebie - dodała. - Raczej całej tej sytuacji. Właściwie... nie wiem, co robić. Pamiętam, co mówiłam, ale...

- Możemy po prostu usiąść i porozmawiać - powiedział Luc łagodnie, wypuszczając ją z objęć. - Miło się z tobą rozmawiało.

- Mnie też - przyznała.

Wciąż jednak czuła się skrepowana.

- Przecież nie gramy według gotowego scenariusza - pocieszył ją, lecz Abby wciąż się bała, że nie spełnia jego oczekiwań.

Miała poczucie, że jest dziwna, inna. Luc nazwał to świeżością uczuć i nie widział w tym nic złego. Okazało się jednak, że poczucie inności tkwi w Abby bardzo głęboko i pochodzi jeszcze z dzieciństwa.

- Zawsze odróżniałam się od reszty dzieci - wyznała, kiedy chciał zrozumieć, co ją dręczy. - Odkąd skończyłam pięć lat, gra na fortepianie stała się praktycznie moim życiem, na co innego nie było już czasu, nawet na chodzenie do szkoły. Nauczyciele uczyli mnie w domu.

- Dzieci się z ciebie wyśmiewały? Te na Hampstead Heath?

Abby kiwnęła głową.

Siedzieli tuż obok siebie na sofie, czuła jego ciepło i pożądanie wzbierało w niej gwałtowną falą. To, co teraz się z nią działo, elektryzowało i miało w sobie nieodparty czar. Brakło jej tchu, drżała, a ciało było śmielsze od umysłu.

Luc pieścił ją delikatnie i marzyła, żeby to trwało bez końca. Zdawało jej się, że dotąd żyła w odrętwieniu i dopiero teraz zaczynała czuć naprawdę. Pocałował ją lekko, lecz jej zdawało się, że nagle wkracza w nowy, nieznany świat. Miała dwadzieścia cztery lata, lecz nigdy dotąd nie była z mężczyzną.

To było cudowne. Chciała jeszcze i jeszcze. Odwzajemniła pocałunek tak namiętnie, że zdziwiło to ją samą i pewnie Luca też. Była niewinna i niedoświadczona, lecz pragnienie i instynkt były tu najlepszymi nauczycielami.

Oddychała spazmatycznie, w głowie jej się kręciło, a serce waliło jak szalone. Czuła, że ten jeden pocałunek w Lucu także obudził żywioł. Pieszczoty stawały się coraz gorętsze, oszalał ją bezmiar doznań.

I nagle stało się coś dziwnego. Luc podniósł głowę, poprawił jej ramiączka sukni i powiedział:

- Powinnaś wracać do domu, Abby.

Była zaskoczona i rozczarowana; nie przewidywała takiego obrotu rzeczy.

- Ale... dlaczego? - próbowała protestować.

- Bo nie chcę cię wykorzystać. Jesteś młoda i niewinna, niech tak zostanie.

Ogarnęła ją wściekłość.

- Nie jestem lalką z porcelany, żeby mnie ustawić w oszklonej szafce i podziwiać - wybuchnęła. - Tak wszyscy mnie postrzegają i tak traktują.

Nagle poczuła się słaba, bezbronna i bliska łez.

Tak chciała, żeby Luc ją zrozumiał. Chciała być kochana.

- Nie wykorzystujesz mnie, jeśli ja się zgadzam - powiedziała szeptem.

- Czy ty w ogóle wiesz, na co się zgadzasz? - zapytał.

- Nie jestem aż taka niewinna. - Abby zaśmiała się nerwowo.

Widziała, że Luc zмага się z różnymi sprzecznymi uczuciami.

- Gdybym cię tak bardzo nie pragnął... - mruknął bardziej do siebie niż do niej.

- Chcę, żebyś mnie pragnął. Ty... tylko ty. Nie każ mi iść do domu. Pozwól mi tu zostać - powiedziała po prostu.

Oczy mu pociemniały, twarz się ściągnęła. Ta decyzja nie była łatwa, uważał, że zatrzymanie Abby na noc będzie z jego strony wyrazem egoizmu. A jednak za nic nie chciał się z nią teraz rozstać.

W milczeniu zaprowadził ją do sypialni, którą prawie bez reszty wypełniało olbrzymie, wspaniałe łóżko. Nie była nawet zawstydzona, gdy ją rozbierał, bo jak mogła wstydzić się kogoś, kto patrzył na nią jak na Wenus z Milo, czy Monę Lizę? Luc odnosił się do niej, jakby była bezcennym skarbem.

- Zrobię, co będę mógł, żeby ci nie zadać bólu - powiedział stłumionym głosem, kiedy już byli w łóżku. Całował jej usta i szyję, a Abby łagodnie głaskała go po włosach.

- Nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze - odpowiedziała.

I rzeczywiście. Cudownie było mieć go tak blisko i poddawać się pieszczotom jego dłoni i warg. Z każdą chwilą czuła się śmielsza i szczęśliwsza, oczarowana rozkoszą zmysłowych doznań.

Nie rozmawiali, ale teraz już nie potrzebowali słów. Porozumienie ich ciał zdawało się sięgać głębiej niż słowa.

W pewnej chwili Luc odsunął się od niej gwałtownie, Abby nie rozumiała, co się dzieje. Była oszołomiona i niespokojna. Drżała z niezaspokojonego pożądania.

- Zapomnieliśmy się zabezpieczyć - powiedział głucho. - I pomyśleć, że już prawie...

- Chyba nie wychodzisz?

Ale Luc już się ubierał.

- Za moment wrócę - uspokoił ją z nikłym uśmiechem. - Nie mogę igrać z twoim życiem, Abby - przerwał, jakby właśnie coś mu przyszło do głowy. - Chyba że bierzesz pigułki.

Potrząsnęła głową. Nawet nie pomyślała o antykoncepcji i ewentualnych skutkach tej szalonej nocy.

- Zaraz wracam - powtórzył i już go nie było.

Zrobiło jej się chłodno, więc wsunęła się pod kołdrę i wtuliła twarz w miękką, pachnącą poduszkę. Przeżycia tego wieczoru, nadmiar emocji, szampan, obfite jedzenie - wszystko to sprawiło, że nagle poczuła się wyczerpana. Zamknęła oczy i choć wcale nie miała takiego zamiaru, natychmiast zapadła w sen.

W ciągu kilku minut znalazł najbliższą aptekę i kupił to, co mu było potrzebne. W chwilę potem był już z powrotem w hotelowym apartamencie. Przejęty i pełen oczekiwania, cicho wszedł do sypialni. Zatrzymał się gwałtownie na widok Abby, która wyglądała teraz jak Śpiąca Królewna. Usta miała jeszcze nabrzmiące od pocałunków, włosy jak ciemny jedwab rozrzucone na poduszce. Zastanawiał się, o czym mogła teraz śnić. - O nim?

Dopiero teraz w pełni do niego dotarło, jak niezwykle był cały ten wieczór i jak cudowny. Jakby wyjęty z rzeczywistości, mimo że zdarzył się naprawdę. I teraz musiał się skończyć.

Luc uświadomił sobie w nagłym przebłysku, że był gotów pozbawić tę dziewczynę dziewictwa. Chciał wziąć to, co mu się nie należało, samolubnie i bezwzględnie. A rano miał odejść i ją zostawić, bo wiedział, że innego wyboru nie ma. Nic więcej nie miał do zaoferowania, był wypalony do cna.

Czuł, że znowu martwieje wewnątrz, a chwila, gdy jego serce obudziło się z letargu, minęła.

Uznał, że najmniej ją skrzywdzi, jeśli wyjdzie natychmiast, nie budząc Abby ze snu. Może tym sposobem najmniej ją zrani. Tak, ta decyzja wydawała mu się najuczciwsza, choć towarzyszyły jej, trudne do pokonania, ból i żal.

Pochylił się nad śpiącą i delikatnym pocałunkiem musnął jej czoło. Wydała ciche westchnienie, od którego ścisnęło mu się serce, ale się nie obudziła.

Zawiódł Suzanne, zawiódł ją na całej linii. Miesiącami nic nie widział i nie rozumiał. Nic nie zrobił, żeby ją uratować. Nie chciał już nikogo więcej tak skrzywdzić, szczególnie kogoś tak uroczego i niewinnego jak Abby. Nie ufał sobie.

Ta dziewczyna miała przed sobą życie, muzykę, cały piękny świat, w którym on byłby obcy. Lepiej było zakończyć to teraz.

Spojrzał na nią ostatni raz i z bólem serca wolno poszedł do drzwi.

- Do widzenia - szepnął jeszcze przez ramię.

A potem wykradł się z pokoju tak cicho, że Abby nawet się nie poruszyła.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Abby powoli budziła się z błogiego snu, który otaczał ją jeszcze jak ciepły koc, gdy ze świata jawy dotarło do niej ciche:

- *Excusez-moi...*

Natychmiast usiadła. Przy jej łóżku stała pokojówka, chyba nie mniej zaskoczona od niej.

Abby odruchowo naciągnęła na siebie kołdrę, była przecież zupełnie naga. Rozejrzała się dookoła, rozpaczliwie poszukując Luca, ale go nie było. Czuła to instynktownie, tak jak poprzedniego wieczoru czuła to niezwykle przyciąganie. Teraz było dużo gorzej - martwa pustka wokół mówiła jej, że odszedł nocą jak złodziej, jeszcze zanim zdążyli... Stłumiła tę myśl w zarodku, to było zbyt bolesne.

- *Vous pouvez retourner dans quelques minutes...* - powiedziała do pokojówki, która przyglądała jej się teraz z bezczelną domyślnością.

Dziewczyna skinęła głową i znikła. Abby została sama.

Zupełnie sama.

Biła się z myślami, dlaczego tak postąpił, przecież wyszedł tylko na chwilę. Czy uznał, że nie była go warta? A może jeszcze wróci?

Wstała z łóżka i zaczęła szukać śladów wskazujących na to, że Luc jednak wróci. Może wyskoczył tylko na kawę i zaraz będzie z powrotem?

Wiedziała jednak, że sama się oszukuje. W takim miejscu jak to kawę podano by im do łóżka, razem z gorącymi rogalikami i gazetą. Tylko że w tej chwili była to wyłącznie jej fantazja, podobnie jak cała ostatnia noc. Wszystko, co czuła, to była fantazja, fałsz.

Bajki nie dzieją się naprawdę, to tylko ładnie podane kłamstwa. A ona była na tyle głupia, że w takie kłamstwo uwierzyła.

Przeszła przez salon, w którym wczoraj siedzieli i rozmawiali. Co właściwe spodziewała się jeszcze znaleźć? Liścik nabazgrany na skrawku papieru, parę słów na pożegnanie. Jakikolwiek dowód na to, że jej nie oszukał.

Nie znalazła nic.

Luc nie pozostawił po sobie żadnego śladu, jak przestępca uciekający z miejsca zbrodni.

Abby usiadła na łóżku, wciąż owinięta kołdrą. Odetchnęła głęboko i starała się zebrać myśli. Luca nie było. Musiała się z tym pogodzić i powinna jak najszybciej stąd wyjść. Powrót do domu wymagał od niej sporo siły, bo ojciec na pewno na nią czeka, zmartwiony i wściekły. Wiedziała, że będzie żądał wyjaśnień.

Ubrała się drżącymi rękami. Teraz, o poranku, jej wieczorowa suknia wydawała jej się łachmanem, zdradzała historię minionej nocy.

Abby naciągnęła płaszcz i otuliła się nim najdokładniej jak mogła. Usłyszała szcęk windy, to wracała pokojówka.

Na szczęście Abby była już gotowa do wyjścia.

- *Excusez-moi, mademoiselle* - wymamrotała tamta. - Pan wymeldował się wczoraj w nocy. Nie wiedziałam, że miał gościa.

- Właśnie wychodziłam - powiedziała Abby lodowato, ratując resztki godności.

Udało jej się wyjść z hotelu, hamując łzy. Starła się nie zwracać uwagi na znaczące pomruki, kiedy przechodziła przez hol. Została rozpoznana.

Zatrzymała taksówkę. Z ulgą wsiadła do środka, podała adres i przymknęła oczy, kiedy auto ruszyło z miejsca.

Ojciec czekał na nią przed hotelem.

- Gdzie ty przepadałeś? - syknął przez zaciśnięte zęby.

Abby z trudem powstrzymała go przed zrobieniem sceny na ulicy.

Dopiero kiedy znaleźli się w swym hotelowym apartamencie, znacznie skromniejszym niż ten, w którym spędziła noc, Andrew Summers mógł odreagować stres. Wyjął z lodówki miniaturową buteleczkę whisky i jednym haustem wypił jej zawartość. Zdumiało to Abby, która jeszcze nigdy nie widziała, by ojciec wypił więcej niż kieliszek wina do obiadu.

- Dziennikarze węszą tu już od rana - rzucił. - Podobno ktoś widział cię wieczorem z mężczyzną.

A jej się zdawało, że są sami. Myślała, że to spotkanie jest dziełem opatrności. Co za naiwność z jej strony. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były dla niej gorzkim doświadczeniem.

- Bo tak było - potwierdziła chłodno.

- Byłaś z nieznajomym? - Ojcu nie mieściło się to w głowie. - Abby, jak mogłaś?

- To są moje prywatne sprawy i nie pozwolę, żeby ktokolwiek się w nie wtrącał - powiedziała, zadzierając dumnie brodę.

- To nieprawda - burknął. - Twoje prywatne sprawy są także moimi sprawami, a poza tym jesteś osobą publiczną, więc interesują też twoich widzów. To był duży wysiłek, żeby zrobić z ciebie celebrytkę.

- Może ja wcale tego nie chcę.

- Teraz już za późno.

Na wiele rzeczy jest już za późno, pomyślała Abby ze znużeniem. Nawet na żal. Przypomniało jej się marzenie Luca, żeby cofnąć czas. Czy gdyby mogła odwrócić bieg wydarzeń, zapobiegłaby wczorajszemu spotkaniu?

Wiedziała, że nie. Pragnęłaby tylko spełnienia.

Były to jednak próżne rozważania.

- Muszę wziąć prysznic i przebrać się - powiedziała ojcu. - Potem możemy porozmawiać.

Kiedy odświeżona wróciła do saloniku, Andrew Summers prowadził właśnie rozmowę telefoniczną. Okazało się, że konferuje z jej matką, co samo w sobie było dla Abby sporym zaskoczeniem. Matka Abby, pierwsza skrzypaczka orkiestry manchesterskiej, miała bardzo napięty plan zajęć i rzadko telefonowała, kiedy byli w trasie.

Teraz przeczytała właśnie w gazecie o „tajemniczym towarzyszu Cudownego Dziecka” i zdążyła się zaniepokoić.

- Ty chyba nie rozumiesz - ciągnął Andrew Summers, zakończywszy rozmowę z żoną - co taki wybryk znaczy.

- Wiem doskonale. - Abby z trudem powstrzymała gorzki śmiech. - Nic nie znaczy.

- Chodzi o twoją karierę... i nie tylko.

Chociaż ojciec od lat był jej opiekunem i mentorem, nie łączyła ich taka zażyłość, żeby rozmawiać o sprawach intymnych, osobistych. Teraz też Abby nie zamierzała mu się zwierzać.

- Niby dlaczego miałyby to zaszkodzić mojej karierze - zapytała, chociaż kariera najmniej ją w tej chwili interesowała.

- Etykietka łatwej dziewczyny mogłaby twojemu wizerunkowi bardzo zaszkodzić - powiedział ojciec po chwili.

Łatwa dziewczyna? - Abby nie bardzo rozumiała, o czym on mówi. Do tej pory nie zrobiła nic, co by pozwalało tak o niej mówić... do wczoraj.

Bo wczoraj postawiła na szalę wszystko: swoją opinię, karierę, całe życie - dla jednej nocy z tamtym mężczyzną. Z mężczyzną, który nie chciał z nią mieć nic wspólnego, który nawet jej nie pragnął.

- Abigail - powiedział Andrew Summers z napięciem w głosie. - Pracowaliśmy bardzo ciężko, żeby dojść do punktu, w którym teraz jesteśmy. Chroniliśmy twoją opinię, publiczność poznała cię jako wielki talent, osobę bez reszty oddaną muzyce.

Wyraźne „my” pobrzmiwające w oracji ojca nie uszło uwagi Abby. Tak było zawsze. Wszystko, czego dokonała, ojciec przypisywał także sobie.

- Na dzisiejszym koncercie będziesz musiała dać z siebie wszystko - oświadczył. - Gwiazdorski występ zmazuje wszystkie winy.

Winy. Ona przecież nie czuła się winna. Dla świętego spokoju kiwnęła jednak głową.

To nie był gwiazdorski występ. Abby nie miała serca do gry, czuła się odrętwiała i zdawała sobie sprawę, że nie idzie jej dobrze. Appassionatę wykonała wręcz nieudolnie i publiczność to zauważyła. Słyszała szmery na widowni, ale nie zwracała na nie uwagi. Grała dalej, chociaż wiedziała, że muzyka odzwierciedla stan jej uczuć - jest płytka i pozbawiona życia.

Podczas przerwy ojciec nakazał jej kompletny relaks. Widziała w jego oczach zaniepokojenie, chociaż starał się go nie okazywać.

Niestety druga część występu była równie nieudana jak pierwsza. Tym razem po koncercie nikt nie przyszedł po autograf. Może wielbiciele byli zdezorientowani i nie wiedzieli, co robić?

Gdy Abby przebierała się w garderobie, Andrew Summers rozmawiał przez telefon z jej agentem.

- Przecież jest takie powiedzenie: brak wiadomości to zła wiadomość, prawda, Randall? No, wiem, wiem... ale to minie. Zostało nam jeszcze sześć koncertów tego tournée... ona da sobie radę.

Nie dam sobie rady, przeszło jej nagle przez myśl, kiedy słuchała mimo woli, jak jej ojciec przybiera coraz bardziej proszący ton. A nawet gdybym była w stanie zagrać, to nie chcę.

Przez dwadzieścia cztery lata żyła dla muzyki. Teraz chciała zacząć żyć dla siebie.

Kiedy wyszła z garderoby, ojciec skończył już rozmawiać i uśmiechnął się do niej ze znużeniem.

- Wiem, że to nie był nasz najlepszy koncert - powiedział. - Ale mamy jeszcze dwa dni do występu w Mediolanie i przez ten czas powinniśmy oboje solidnie wypocząć.

My, zawsze my, pomyślała. Kiedy była dziewczynką, uważała to za honor. Teraz złościło ją to i sprawiało jej przykrość. Znała historię swego ojca dokładnie: on też był pianistą, dość przeciętnego talentu, i gdy sam nie zdołał zrobić kariery, wszystkie niespełnione marzenia przelał na córkę. Tylko że ona miała już tego dosyć.

- Chcę odwołać dalsze tournée - powiedziała cicho. - Jestem... wypalona. Potrzebuję więcej niż kilku dni odpoczynku.

Andrew patrzył na nią w osłupieniu.

- Możemy zwrócić pieniądze, jeśli będzie trzeba.

Abby mówiła z coraz większą pewnością w głosie. Zaczynała być świadoma swoich potrzeb i pragnień. Noc z Lukiem to był tylko sygnał, który ją obudził.

- Koncertowałam i nagrywałam płyty przez siedem lat bez przerwy. Potrzebny mi jest urlop. I to długi.

- Dobrze - powiedział Andrew z głębokim westchnieniem. - Dobrze, ale po zakończeniu tournée.

- Nie dam rady. Słyszałeś, jak dzisiaj grałam. Nie dam rady. Możemy zwrócić pieniądze...

- Nie - przerwał jej. - Nie możemy.

Abby wpatrywała się w niego i po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.

- Dlaczego? - zapytała głucho.

- Bo je straciłem. Straciłem wszystko.

TLR

# ROZDZIAŁ PIĄTY

## *Sześć miesięcy później*

Był ciepły dzień wrześniowy. Luc siedział w ogródku jednej z kawiarenek w Avignonie i przeglądał gazetę, gdy nagle wzrok jego padł na tytuł niewielkiej notki w rubryce wydarzeń kulturalnych: „*Cudowne Dziecko*”, *pianistka Abigail Summers, kończy karierę*.

Luc poczuł gwałtowny skurcz w brzuchu. Wiedział, że to dało o sobie znać tłumione dotąd poczucie winy. Starał się nie myśleć o Abby i o tamtej cudownej, choć niespełnionej nocy pół roku temu. Usiłował zapomnieć, dla jej dobra. Był pewien, że w jej życiu nie ma dla niego miejsca. Trwał w uczuciowym odrętwieniu, do którego już przywykł, był sam i uciekał w pracę.

Teraz jednak, kiedy wpatrywał się w drobne literki tekstu i niewyraźne zdjęcie Abby przy fortepianie, uświadomił sobie, że wcale o niej nie zapomniał. Poczucie winy narastało w nim i stawało się coraz bardziej bolesne, niepokój dławił go w gardle.

Dlaczego przestała koncertować? Czy to z jego powodu? Czyżby zranił uczucia kolejnej niewinnej osoby, mimo że nie miał takich intencji?

Niepotrzebnie w ogóle z nią rozmawiał, zamawiał szampana, kolację, wynajął apartament... Było tyle okazji, żeby to przerwać, skończyć, odejść i nie narażać tej naiwnej, ufnej dziewczyny na zranienie, ale on wołał brnąć dalej...

- Cześć.

Luc podniósł głowę znad gazety i ujrzał swego prawnika, Denisa Depaul, który najwyraźniej miał do niego jakąś sprawę.

- Cześć - odpowiedział i zaprosił go do stolika.

Denis był od dawna przyjacielem rodziny. Już kiedy Luc był małym chłopcem, doradzał jego ojcu w kwestiach majątkowych i służył pomocą w interesach. A po śmierci starszego pana Toussaint strzegł majątku rodziny aż do czasu, gdy Luc dorósł na tyle, żeby sam się tym zająć. Luc na zawsze zapamiętał te straszne czasy, kiedy majątek Toussaint stopniowo popadał w kompletną finansową ruinę w wyniku działań

skorumpowanych i nieudolnych zarządców. Denis robił wtedy, co mógł, aby ratować dobra rodziny, a on, wówczas dwunastolatek, mógł się tylko temu przyglądać.

- Mam dla ciebie nowinę - oświadczył teraz prawnik.

- Tak? - Luc nie wykazał specjalnego zainteresowania.

- Jest oferta kupna zamku Mirabeau.

Luc znieruchomiał nad filiżanką kawy.

- Oferta? - powtórzył tym samym obojętnym tonem. - Nie wiedziałem, że jest na sprzedaż.

- Oczywiście, że nie jest, ale stoi zamknięty na cztery spusty od pół roku i ludzie zaczynają się dziwić.

- Niech się dziwią.

- To jest naprawdę dobra oferta, Luc - ciągnął Denis niezrażony. - Ty oczywiście nie potrzebujesz tych pieniędzy, ale wzięwszy pod uwagę...

- Wzięwszy pod uwagę co? - podjął Luc.

- To, że już tam nie mieszkasz i wyraźnie dałeś do zrozumienia, że nie masz takiego zamiaru w przyszłości. A to jest naprawdę korzystna propozycja, Luc. Cały ten zamek i wszystkie wspomnienia, które się z nim wiążą...

Denis patrzył na niego ze współczuciem, którego on nie mógł znieść. Nie zasługiwał na sympatię ani nawet na zrozumienie. Luc wolałby, żeby otwarcie obciążył go winą za śmierć Suzanne. W duchu sam wciąż się o to oskarżał. Gdyby ją bardziej kochał, gdyby dostrzegł, jak się czuła samotna i nieszczęśliwa... może by dzisiaj żyła.

- Nie sprzedam go - powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Ten zamek należy do naszej rodziny od kilkuset lat. Mój ojciec... - Głos mu się załamał.

- Wiem, że twój ojciec by do tego nie dopuścił - powiedział Denis łagodnie. - Ale on nie był w stanie przewidzieć wszystkich okoliczności. Sprzedaż zamku może okazać się korzystna dla ciebie, Luc. I nie mam tu wcale na myśli stanu twojego konta. Ty potrzebujesz...

Luc nie miał jednak ochoty wysłuchiwać niczyich rad.

- Jak sobie życzysz - rzekł Denis, nie tracąc spokoju. - Trzydzieści pięć milionów franków może wpłynąć na zmianę twojej decyzji.



- Trzydzieści pięć milionów? Tylko tyle?

Denis zachichotał pod nosem. Wiedział, że Lucowi nie zależy na pieniądzach, miał ich wystarczająco wiele. Jego dobra to nie były tylko liczby wyrażające ich rynkową wartość i dochodowość - to były rozległe winnice, starodawne mury, gaje oliwne i pomarańczowe - dom i ziemia, które tak bardzo kochał.

Luc nie potrafił teraz myśleć o sprawach konkretnych, nawet kiedy Denis zaczął mówić o innych interesach, które prowadzili w Langwedocji. Jego myśl nieodparcie powracała do Abby i znów przytłaczało go poczucie winy.

Przecież pół roku temu znajdowała się u szczytu kariery. Mogła mieć wszystko, o czym tylko marzyła - a teraz nagle się wycofała? Tak po prostu?

Dlaczego?

Odpowiedź wydawała mu się oczywista: przez niego. Bo obudził w niej pragnienia i nadzieje, a potem znikł bez słowa pożegnania.

Wmawiał sobie, że tak było lepiej. Gdyby został z nią tamtej nocy, kochaliby się, nie mogliby się rozstać. Potem może nawet uwierzyłaby, że łączy ich prawdziwe uczucie, do którego on nie był przecież zdolny, więc nieuchronnie by ją zranił, rozczarował, zawiódł. Tak jak przedtem zawiódł Suzanne.

Tylko że mógł to złagodzić, coś jej wyjaśnić. Teraz pierwszy raz przyszło mu to do głowy i ogarnął go dotkliwy żal. Przypomniawszy sobie, jak słodko było ją obejmować; wtedy na krótko opuściły go widma przeszłości, wypełnił go spokój.

Pozornie wciąż rozmawiał z Denitem, lecz duchem był już gdzieś bardzo daleko, szukał Abby, zastanawiał się, gdzie mogła się teraz znajdować...

Abby pakowała właśnie pudło z prowiantem, który miała dostarczyć do domu zwanego Cichym Zakątkiem. Od czterech miesięcy pracowała jako pomocnica Grace Myer, właścicielki Kornwalijskiej Wiejskiej Firmy Cateringowej.

Grace poprawiła kosmyk siwiejących włosów i sprawdziła treść zamówienia:

- Lazagne, sałatka, chleb i szarlotka. To chyba wszystko. To tylko dla jednego pana.

- Przyjechał tu na tydzień?

- Tak. Wynajął domek kilka dni temu; musiał zdecydować się w ostatniej chwili. To co? Już jedziesz? A po południu będziesz mogła pojechać do Helston?

Abby kiwnęła głową. Grace zatrudniła ją przecież głównie po to, żeby zajęła się dostawami, bo sama miała problemy z kręgosłupem i nie mogła dźwigać. Abby zaś była zadowolona, bo czuła się potrzebna; miała konkretne zajęcie, jak nigdy dotąd, a dzięki temu mniej czasu zostawało jej na myślenie.

Teraz załadowała pudło na tył starego samochodu Grace, sama zaś usiadła za kierownicą. Miała przed sobą jazdę nadmorską drogą do Carack, niewielkiej wioski rybackiej, gdzie znajdował się właśnie Cichy Zakątek.

Już nie pierwszy raz pomyślała o tym, jak dalece jej życie uległo zmianie w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Tamta noc w Paryżu i wiadomość, że cały ich, jej, kapitał przepadł, to był punkt zwrotny w jej życiu i karierze. Zagrała jeszcze dwa koncerty, po czym dalsza część tournée została odwołana. Wśród domysłów i spekulacji opuściła estradę, rozstała się z tym wszystkim, co dotąd stanowiło jej życie. I przyjechała tutaj.

Dni miała wypełnione, jeździła po okolicznych wioskach i rozwoziła pudła z jeźdzeniem. Dość przyziemny charakter tej pracy uprzyjemniał jej widok morza i nieba, sporadyczne wyprawy do Helston i Penzance po zaopatrzenie i kontakty z kilkorgiem nowych przyjaciół, których tu poznała. Małe, proste przyjemności, nauczyła się je doceniać.

Przyjechała do Kornwalii pod wpływem impulsu, nawet się nad tym nie zastanawiała. Jako dziecko była tu na wakacjach, kiedy jej matka brała udział w festiwalu pianistycznym w Devon. Abby spędziła wtedy cudowny tydzień, budując zamki z piasku, zbierając muszelki i jedząc lody. Jedne z niewielu wakacji, które spędzili we trójkę, jako rodzina. Dobrze było tu wrócić i wcale nie żałowała, że odpowiedziała na ofertę pracy, zamieszczoną przez Grace w lokalnej gazecie. Potrzebowała radykalnej zmiany, chciała zerwać ze swym dotychczasowym życiem i wizerunkiem Cudownego Dziecka.

Teraz po raz pierwszy - poza tamtą nocą z Lukiem - czuła się wolna. I na swój zwyczajny, prosty sposób, szczęśliwa.

Tylko od czasu do czasu wspomnienie Luca wzbudzało w niej nagły, dotkliwy ból. Gniew na niego dawno już minął, był zresztą zbyt wyczerpujący. Przestała też dociekać, dlaczego ją wtedy zostawił. Czy miało to jeszcze jakieś znaczenie?

Postanowiła nie patrzeć w przeszłość, żyć dalej i dopuścić do siebie uczucia, nawet gdyby to miało być bolesne.

Cichy Zakątek był ostatnim domem przy głównej ulicy Carack, biały, kryty strzechą i zwrócony ku morzu. Abby zaparkowała samochód przed wejściem, wysiadła i z przyjemnością odetchnęła chłodnym, ostrym, morskim powietrzem, po czym wypakowała z samochodu pudło z żywnością. Weszła tylną furtką, przez ogródek, wprost do prostej, wiejskiej kuchni o ceglanej podłodze.

Bardzo lubiła ten dom. Był malutki i przytulny, idealny dla par szukających samotności. Salonik z kamiennym kominkiem i sypialnia na mansardowym pięterku stwarzały tu szczególny klimat. Do obowiązków Abby należało dopilnowanie, czy domek jest odpowiednio przygotowany dla nowych gości, dlatego wypakowawszy jedzenie, poszła na górę sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Widok szerokiego, podwójnego łóżka wywołał w niej ukłucie żalu, bo przez moment wyobraziła sobie, że leży tu z Lukiem. Suma jej romansowych doświadczeń ograniczała się do tamtej pamiętnej nocy, więc kogo innego mogła sobie teraz wyobrazić jak nie jego.

- To żałosne - powiedziała sama do siebie na głos, chcąc odpędzić natrętne myśli. Nic dobrego nie mogło z nich wyniknąć.

Zeszła na dół i chciała jeszcze tylko przejrzeć się w lustrze, kiedy usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Ktoś otwierał właśnie frontowe drzwi. Zdziwiła się, bo nowy lokator miał przyjechać koło trzeciej, a było dopiero południe. Uznała jednak, że należy się przywitać, a przy okazji upewnić, czy wszystko jest, jak należy. Przybrała miły, profesjonalny uśmiech i już miała przygotowane: „witam w Cichym Zakątku”, kiedy słowa nagle zamarły jej na wargach, a uśmiech momentalnie znikł z twarzy.

W otwartych drzwiach stanął Luc.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Stał w drzwiach jak skamieniały i chłonał jej widok.

Ona także była oszołomiona. Gwałtownie pobladła i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Wyglądała tak samo... a jednak inaczej. Ciemne, lśniące włosy nie dbale związała w koński ogon, a zamiast sukni wieczorowej miała na sobie sprane dżin-sy, bawełniany T-shirt i czerwoną bluzę. Mimo lat spędzonych w wielkim świecie, niewiele się różniła od przeciętnej, młodej, wiejskiej dziewczyny. Myśl, że to on doprowadził ją do takiej degradacji i że przez niego zatrudniła się w jakiejś podrzędnej firmie cateringowej, znów wzbudziła w nim wyrzuty sumienia.

- Cześć, Abby - powiedział w końcu.

- Co ty tu robisz?

Abby nie zdążyła jeszcze ochłonać ze zdumienia.

- Ja... - wahał się, co powiedzieć. - Chciałem cię zobaczyć.

- Przyjechałeś tutaj specjalnie?

Przyszło mu do głowy, że rzeczywiście mało prawdopodobne, żeby ktoś taki jak on wynajmował domek w jakiejś nadmorskiej wiosce bez wyraźnej przyczyny. Bywał raczej w luksusowych hotelach i kurortach, uzdrowiskach i miejscowościach narciarskich.

- Tak - potwierdził.

Jej widok przywołał mu na pamięć wspomnienia tamtej nocy, która mogła być tak cudowna, gdyby wtedy nie odszedł. Starał się odegnać te myśli i obrazy.

- Stawałem na głowie, żeby cię znaleźć - powiedział. - No, ale jakoś się udało i jestem.

- Ale dlaczego? - zapytała cichym, niemal groźnym tonem, jakiego nigdy przedtem u niej nie słyszał.

- Chciałem się upewnić, czy wszystko u ciebie w porządku.

Abby cofnęła się o krok.

- Postawmy sprawę jasno - powiedziała bez ogródek. - Chciałeś uspokoić swoje sumienie, bo bałeś się, czy ta noc sprzed pół roku nie złamała mi serca, prawda?

Luc nagle poczerwieniał na twarzy i Abby nie była pewna, czy to objaw wstydu, czy gniewu.

- Możesz mieć spokojne sumienie, Luc. Nic mi nie jest - powiedziała dumnie, chociaż głos trochę jej drżał.

- Porzuciłaś fortepian - powiedział, nie ruszając się z miejsca.

- Ta decyzja nie miała nic wspólnego z tobą.

- Czytałem w gazecie, że odwołałaś szereg koncertów.

Abby poczuła, że ogarnia ją gniew. Stał tu przed nią, tak niewiarygodnie przystojny, budził w niej od nowa tęsknoty, o których chciała zapomnieć, i domagał się odpowiedzi, które mu się nie należały.

- To naprawdę nie jest twoja sprawa - odparła ze znużeniem. - A lasagne jest w lodówce.

Luc zachnął się na wzmiankę o jedzeniu, przecież chodziło mu tylko o to, żeby zobaczyć Abby.

- No to mnie zobaczyłeś - skwitowała. - Musiałeś chyba zatrudnić detektywa, żeby mnie tu znaleźć. Nawet dziennikarze nie wiedzą, gdzie mnie szukać, chociaż pewnie nie jestem już dla nich takim łakomym kąskiem.

On jednak wciąż domagał się odpowiedzi na pytanie, dlaczego porzuciła fortepian i Abby czuła się tą rozmową coraz bardziej wyczerpana. Prawie nie poznawała tego mężczyzny, w którym pół roku temu zdawało jej się, że jest zakochana. Chwilami wydawał jej się całkiem obcy, zimny, niedostępny.

Wiedziała, że powinna natychmiast wyjść, ale nie mogła. Co za głupota.

- Jeśli masz zamiar dalej mnie wypytywać, to może milej będzie rozmawiać przy herbacie? - zaproponowała w końcu.

Weszła do kuchni i zaczęła się krzątać; proste, zwyczajne czynności dały ukojenie jej nerwom. Luc tymczasem niemal obsesyjnie wypytywał, czy nie tęskni za swoim dawnym życiem, dlaczego zrezygnowała z kariery i czemu stało się to tak nagle. Nie miała wątpliwości, że miał o to pretensję do siebie. Nosił w sobie jakiś smutek i żal, nawet tragizm. Zastanawiała się, co takiego zdarzyło się w jego życiu, co napełniło go tak bezgranicznym poczuciem winy.

- Mylisz się - powiedziała cicho. - To nie przez ciebie. To przeze mnie.

- Więc co się stało?

Dobrze, że musiała podać kubki i zaparzyć herbatę, bo dawało jej to czas na zebranie myśli. Co się stało? Bardzo wiele.

- Myślę, że jednocześnie zdarzyło się wiele rzeczy - rzekła, kiedy herbata była gotowa. - Ta nasza wspólna, niedokończona noc stała się dla mnie swego rodzaju dzwonkiem alarmowym - ciągnęła dalej z namysłem, ostrożnie dobierając słowa. - Zrozumiałam wtedy, jak jałowe jest moje życie, chociaż z zewnątrz mogło wyglądać wspaniale. Znałam tylko grę na fortepianie, niekończące się nigdy lekcje i ćwiczenia, sale koncertowe i nic poza tym. Nie znałam smaku prawdziwego życia.

- I chciałaś to zmienić?

Nie tylko, chciała od tego wszystkiego uciec. Luc uważał, że była doskonałą pianistką.

- Niestety przestałam nią być - powiedziała, wzruszając ramionami.

Zamilkli oboje i przez chwilę słychać było tylko szum morza i huk fal rozbijających się o brzeg.

- No dobrze - rzekł w końcu Luc. - Ale jak znalazłaś się w Kornwalii? I dlaczego najęłaś się do dźwigania tych pudeł?

- Nie ma nic złego w pracy fizycznej - obruszyła się, bezbłędnie wychwytyjąc w jego pytaniu ton niedowierzania i pogardy.

- To jest marnowanie twojego talentu. A co będzie, jeśli nadwerężysz sobie ręce? I jeśli przez to nie będziesz już mogła grać?

Sama się nad tym zastanawiała, ale kiedy podejmowała pracę w Kornwalijskiej Wiejskiej Firmie Cateringowej, była zbyt zmęczona i rozgoryczona, by się takimi rzeczami przejmować.

- Już pół roku nie grałam - powiedziała cicho. - Czasami zastanawiam się, czy kiedykolwiek jeszcze będę grać.

Po raz pierwszy wypowiedziała swe obawy na głos. Na twarzy Luca odmalowało się przerażenie.

- Nie bierz tego do siebie - powiedziała, próbując się uśmiechnąć. - To nie ma nic wspólnego z tobą, tylko ze mną i moją rodziną.

- Z twoją rodziną?

- Moi rodzice są zawodowymi muzykami. Tylko na tym się znają, nic innego nigdy ich nie obchodziło. Mniej więcej wtedy, kiedy się urodziłam, moja matka zaczęła robić karierę jako skrzypaczka, natomiast pianistyczna kariera mojego ojca zaczynała trochę przygasać. Dlatego to on stał się moim głównym opiekunem.

Mówiła beznamiętnie, jakby to wszystko dotyczyło kogoś innego, prawie tak się czuła.

- Przełał na mnie całą swoją miłość do muzyki, jak również całą ambicję. Nie dopuszczałam nawet myśli, że mogłabym go zawieść.

Dnie i tygodnie spędzone niemal samotnie w Kornwalii dały jej okazję do refleksji nad życiem i nasunęły wnioski, jakie nigdy przedtem nie przyszłyby jej do głowy. Niekoniecznie było to miłe, ale z pewnością potrzebne.

- Możliwe - podsumował Luc. - Ale twój talent jest niewątpliwy i z pewnością przewyższa talent twojego ojca. Tego nie osiąga się perswazją ani siłą.

- Pewnie tak. - Częściowo przyznała mu rację. - Tylko że talent i pragnienie sławy nie zawsze idą w parze. Ja sama na pewno nie pragnęłam kariery zawodowej pianistki, to był pomysł mojego ojca. Kocham muzykę i może jeszcze kiedyś będę grała, jeśli będę miała okazję. Ale do tego czasu publiczność będzie już miała jakiegoś nowego ulubieńca, nowe Cudowne Dziecko.

- Bardzo wątpię - odpowiedział powoli Luc. - Zresztą jeśli potrzebowałaś przerwy i odpoczynku, to dlaczego nie wybrałaś się na jakieś porządne wakacje, zamiast...

- Zamiast harować tu jak wół? - dokończyła ze śmiechem. - W pewnym sensie ta praca jest dla mnie rodzajem wakacji, Luc.

Zaczął ją przekonywać, że z jej majątkiem nie musi przecież tak ciężko pracować i że stać ją na pobyt w najlepszych hotelach i kurortach. Musiała wyprowadzić go z błędu.

- Mylisz się - przerwała mu. - Ojciec sprawował opiekę nad moimi pieniędzmi i starał się je inwestować. Ja miałam zawsze wszystko, czego mi było trzeba i nie zawracałam sobie głowy sprawami finansowymi. Prawdę mówiąc, tak mi było wygodniej.

Abby odetchnęła głęboko i wyrzuciła z siebie resztę gorzkiej prawdy:

- Mniej więcej w czasie, kiedy poczułam się całkiem wypalona, odkryłam, że straciłam praktycznie wszystko, co zarobiłam przez siedem lat koncertowania.

Nie dodała, że stało się to następnego dnia po tym, jak Luc ją zostawił.

- No cóż, źle ulokował te pieniądze, przyszła zła koniunktura. - Wzruszyła ramionami. - On nie jest maklerem, tylko muzykiem, nie musiał się na tym znać.

- Mogłaś zaskarżyć go do sądu!

Abby nie miała jednak zamiaru procesować się z własnym ojcem. I tak nie miał pieniędzy, żeby jej cokolwiek zwrócić, a poza tym po prostu było jej go żal. Ostatnio prawie się nie kontaktowali. Ojciec nie mógł się pogodzić z jej decyzjami, nie akceptował wyjazdu do Kornwalii ani tym bardziej jej obecnego zajęcia. Łudził się jeszcze, że zdoła uratować jej karierę.

- A matka? - zapytał Luc.

- Matka ma swoją pracę. Odkąd zaczęłam koncertować, rodzice żyli praktycznie w separacji. Proponowała mi, żebym przyjechała do niej, do Manchesteru. Mogłam uczyć tam dzieci muzyki, ale nie miałam na to ochoty. Chcę sama sobie ułożyć życie.

Przez chwilę oboje milczeli.

- Jeśli potrzebujesz pieniędzy... - zaczął, lecz Abby nie pozwoliła mu skończyć. Nic od niego nie chciała. Nareszcie była wolna i nie mogła pozwolić, by w jakikolwiek sposób kontrolował jej życie, zresztą jakie miał do tego prawo?

- To, co było między nami - wydusiła z trudem - zdarzyło się pół roku temu. A życie toczy się dalej, Luc. Jesteśmy już innymi ludźmi.

Zebrała się w sobie, żeby wreszcie skończyć.

- Czy nie mógłbyś mnie już zostawić w spokoju? - wyrzuciła z siebie. - Wracaj tam, skąd przyjechałeś, do Paryża czy do Langwedocji.

On jednak się nie zrażał. Patrzył na Abby i nie mógł się nasycić jej widokiem. Ujął ją za rękę i delikatnie głaskał wnętrze jej dłoni.

- Nie mógłbym - odpowiedział. - Za to chciałbym cię zaprosić na kolację.

- Raz się zgodziłam i później tego żałowałam.

Próbowała uwolnić rękę, lecz Luc jej nie puszczał.



- Naprawdę, Abby? - zapytał cicho. - Żałujesz tamtego spotkania?

Patrzył jej w oczy i nie mogła uciec od jego spojrzenia. Nie umiała też kłamać.

- Nie - wyszeptała. - Nie żałuję, chociaż powinnam. W każdym razie nie chciałabym tego powtarzać.

To też nie do końca była prawda. Luc nalegał. Obiecywał, że to tylko kolacja, nic więcej.

A ona była już bliska powiedzenia: tak. Bo przecież chciała go jeszcze zobaczyć... i dotknąć. I żeby on ją dotknął... i pieścił. Nawet gdyby potem miał znów, jak wtedy, wymknąć się bez pożegnania.

- Nie, Luc - powiedziała stanowczo i sama nie wiedziała, skąd miała w sobie siłę, by mu odmówić.

W te dwa słowa włożyła chyba cały zapas energii, bo zaraz poczuła się całkowicie wyczerpana.

- Przepraszam. Ja po prostu... nie mogę. Nie mogę.

I nawet na niego nie spojrzawszy, zerwała się z miejsca i wybiegła z domu. Uciekła.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Luc stał w drzwiach Cichego Zakątka i patrzył w ślad za Abby.

Uciekała od niego ile sił w nogach. I miała rację, pół roku temu dostała dobrą naukę. A on? Czy on niczego się wtedy nie nauczył?

Nadal jej pragnął.

Przyjechał do Kornwalii w najlepszych intencjach, przynajmniej tak mu się zdawało. Chciał ją zobaczyć i wytłumaczyć, dlaczego ją wtedy zostawił. No i chciał się przekonać, czy wszystko u niej w porządku.

Przypomniał sobie, co powiedziała Abby - że chciał uspokoić swoje sumienie. Na pewno wydał jej się zadufanym, egoistycznym draniem, któremu chodziło tylko o to, żeby poprawić sobie samopoczucie. Przejrzała go na wskroś, dojrzała to, czego sam przedtem nie widział. Wcale nie przyjechał tu dla niej, chodziło mu tylko o siebie. Zaklął głośno, patrząc pustym wzrokiem w przestrzeń.

Nie mógł tego tak zostawić. I nie mógł tak zostawić Abby, czy tego chciała, czy nie. Zaslugiwała na więcej, niż on był w stanie jej dać, lecz pragnął przynajmniej zabezpieczyć ją finansowo i praktycznie, jeśli uczuciowo nie był w stanie. A jednak wcale nie był pewien, czy i teraz się nie okłamuje. Może po prostu chciał ją jeszcze zobaczyć i to był tylko pretekst?

Grace od razu zauważyła, że Abby jest jakaś nieswoja, ta jednak nie chciała jej wtajemniczać w wydarzenia poprzedniego dnia. Prawda była taka, że tej nocy prawie nie spała, a przyczyną tego był Luc. Od chwili, gdy go teraz zobaczyła, całkowicie zawładnął jej myślami, a co gorsza sercem. Odżyły w niej doznania sprzed pół roku. Wtedy jakby nie było między nimi żadnych barier, czuła się z nim całkowicie bezpieczna. Teraz wiedziała, że to było złudzenie. Tamto spotkanie całkowicie ją rozbiło, zraniło do głębi, stało się przyczyną jej głębokiego załamania. A przecież nawet ze sobą nie spali! I może to ją zabolalo najbardziej. Ofiarowała mu swoją miłość, a on ją odtrącił. Odszedł, zanim jeszcze cokolwiek się spełniło.

Była zbyt dumna, aby pytać go, dlaczego tak postąpił.

Wiedziała instynktownie, że nie powinna tego doświadczenia powtarzać.

Dlaczego więc spędziła ostatnią noc bezsennie, przeżywając od nowa, analizując i wspominając tamten niedokończony wieczór? Dlaczego jej ciało, wbrew wszelkim rozumowym argumentom, znów pragnęło Luca i jego pieszczot?

Tymczasem Grace kończyła właśnie pakować kolejną paczkę z zaopatrzeniem.

- Duszona wołowina i świeży chleb na dziś wieczór do Cichego Zakątka - oznajmiła. - Ten pan zamówił też śniadanie.

- Śniadanie - powtórzyła głucho Abby.

To słowo przywołało jej na myśl zmiętą pościel, wspólne picie porannej kawy, gorące bułeczki. Śniadanie - posiłek, którego nigdy wspólnie z Lukiem nie jadła.

- Mam wozic następne posiłki do Cichego Zakątka? - zapytała zachrypniętym głosem.

- Oczywiście. Prosił, żeby dostarczać mu posiłki przez cały tydzień.

Perspektywa, że przez cały tydzień będzie go widywać, wydała się Abby ponad siły. Jeśli będzie musiała jeździć tam codziennie, w końcu się podda i zgodzi się na wszystko, czego będzie chciał...

- Abby, wszystko w porządku?

Jej nagle zmiana wyrazu twarzy nie uszła uwagi Grace.

- Tak, oczywiście - zapewniła może trochę zbyt gorliwie.

- A może o czymś nie wiem?

Abby nie miała zamiaru opowiadać Grace o swojej znajomości z Lukiem. Należał do tego fragmentu jej życia, który postanowiła zamknąć. Tłumaczyła, że jest zmęczona, to wszystko.

- Czy ty nie chcesz jechać do Cichego Zakątka? - zapytała Grace wprost, nie dając się zbyć.

- Ależ skąd, oczywiście pojedę - odpowiedziała szybko Abby.

Zaczynała się plątać, złapała się we własne sieci. Pod baczny wzrok Grace zdawało jej się, że jest przezroczyista i tamta czyta w jej myślach.

Tego dnia miała więc jechać do Cichego Zakątka i jeszcze do dwóch innych miejscowości: Cadgwith i Mullion.

Cichy Zakątek zostawiła sobie na koniec, większą część dnia zajęły jej pozostałe dostawy. Właściwie od dostawy dla Luca powinna była zacząć, wtedy miałyby wymówkę, że zaraz musi jechać dalej, ale za późno przyszło jej to do głowy. A może zadziałała jej podświadomość?

Przeszła przez ogródek, dźwigając spore pudło z jedzeniem, i ciężką mosiężną kołatką zastukała w kuchenne drzwi. Czekala przez dłuższą chwilę, lecz nikt nie odpowiedział ani nie otworzył. Z uczuciem rozczarowania sięgnęła w końcu po zapasowe klucze, które wozila ze sobą.

Weszła, wypakowała prowianty, a potem rozejrzała się po domku. Dostrzegła buty suszące się koło kominka, książkę, okulary w rogowej oprawie - wszystkie te drobiazgi mówiły coś o swym właścicielu.

Wiedziała z całą pewnością, że nie powinna wchodzić na górę. Nie miała żadnego powodu, żeby tam wchodzić. Dostarczyła jedzenie, a więc zrobiła, co do niej należało. A jednak, wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew własnej woli - z zapartym tchem zaczęła wspinać się po wąskich schodkach. Szpiegowała, wsadzała nos w nie swoje sprawy; nie było na to innych określeń.

Zajrzała do sypialni. Łóżko było rozkosznie rozgrzebane, a poduszka zachowała jeszcze wgniecenie - ślad głowy Luca.

Abby nie mogła się powstrzymać: pochyliła się nad pościelą, wdychając jego zapach.

- Abby?

To był Luc.

Podskoczyła do góry z przerażenia. Poczzerwieniała ze wstydu.

Stał za nią w drzwiach i też wydawał się zdziwiony.

- Wszystko w porządku? - zapytał, unosząc brwi.

- Tak, tak - odparła pośpiesznie. - Ja tylko chciałam sprawdzić... to należy do moich obowiązków.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że ją przejrzał.

- Dobrze, że jesteś - powiedział - bo chciałem ci coś dać.

Jednak ta bliskość w zaciszu jego malutkiej sypialni wydawała się Abby zbyt niebezpieczna. Zagradzał jej drogę, lecz kiedy tylko trochę się odsunął, minęła go i pędem zbiegła na dół.

- Mówiłem ci, że mam coś dla ciebie - przypomniał, zszedłszy za nią do kuchni.

Powoli, niechętnie spojrziała na kawałek papieru, który jej podał, i zamrugła z wrażenia. Nie dowierzała własnym oczom: trzymała w ręce czek na milion funtów.

- Co to ma znaczyć? - wykrztusiła.

- Chcę mieć poczucie, że jesteś zabezpieczona.

- Za pomocą miliona funtów?

Abby popatrzyła na niego, z trudem powstrzymując łzy.

- Te pieniądze sprawią, że będziesz miał czyste sumienie?

- Traktuj je jako prezent.

Abby powoli, drżącymi rękami podarła czek. Najpierw na dwie części, potem na coraz więcej i więcej drobnych kawałeczków, które sfruwały na podłogę.

- Nie chcę twoich pieniędzy, Luc - powiedziała cicho. - Ja chciałam ciebie. Ty najwyraźniej nie chciałeś mnie i milion funtów nic tu nie zmieni.

Luc milczał przez dłuższą chwilę, patrząc jej w oczy z napięciem.

- Sześć miesięcy temu znajdowałem się w trudnym momencie - powiedział głucho.

- Byłem żonaty...

Abby szeroko otworzyła usta ze zdumienia i poczuła, że lodowacieje.

- Żonaty? - powtórzyła.

- Nie wtedy, źle się wyraziłem. Moja żona, Suzanne, zmarła pół roku wcześniej.

Mówił to prawie obojętnie, ale Abby widziała w jego oczach bezmiar cierpienia.

- Tak mi przykro - powiedziała.

Wiedziała jednak, że to za mało i nie tak. Zawirowało jej w głowie od natłoku myśli, na wydarzenia tamtej nocy musiała teraz spojrzeć inaczej. Czy dlatego ją opuścił, że był w żałobie?

- Pewnie ją bardzo kochałeś - dodała cicho.

Sądziła, że tamto stwierdzenie miało wystarczyć za wszelkie inne tłumaczenia. Nie mogła przecież zastąpić mu ukochanej żony, którą stracił tak niedawno. Odszedł, bo nie chciał jej zdradzić, mimo że już nie żyła.

- Odszedłem, bo wiedziałem, że nie jestem w stanie dać ci tego, na co zasługujesz i czego potrzebujesz, Abby - rzekł w końcu z rozpaczą.

Abby kiwnęła głową, choć dławiono ją w gardle i piekło w oczach.

- Dlaczego nie chcesz wziąć tych pieniędzy? - zapytał cicho. - Jakie to ma znaczenie, dlaczego ci je daję? Przecież ich potrzebujesz.

- Prawdę mówiąc, nie potrzebuję. I nie chcę, żeby to wszystko, co było między nami, nagle stało się małe i brudne. Tak by było, gdybym wzięła od ciebie te pieniądze. - Abby wzięła głęboki oddech i mówiła dalej : - Myślałam, że tamtej nocy coś nam się zdarzyło, że to był jakiś początek... ale dla ciebie był to tylko sposób na zapomnienie, przez parę godzin, prawda? Nawet gdybyśmy się wtedy kochali, to i tak rano byś mnie zostawił.

Luc milczał i Abby wiedziała, że ona ma rację. Nie powinno jej to dziwić i nie powinno boleć. A jednak bolało.

- Do widzenia - powiedziała, ujmując za klamkę.

- To nie tak - powstrzymał ją głos Luca, cichy i smutny. - A przynajmniej nie chciałem, żeby tak się stało. Tamta noc to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie mi się w życiu zdarzyły, Abby. Wiem, że to brzmi banalnie, ale obudziło to we mnie nadzieję, w czasie, gdy byłem całkiem załamany.

- Więc dlaczego mnie zostawiłeś? - zapytała żałośnie. - Czy nagle zmieniłeś zdanie? A może przestałam ci się podobać i już mnie nie chciałeś?

- Och, Abby. Ja cię nie chciałem? - Luc podszedł do niej bardzo blisko, mówił wzruszonym, zdławionym głosem. Objął ją i przytulił, palcami przeczesywał jej włosy. Dopiero teraz, kiedy jej dotknął, zrozumiała, jak bardzo go pragnie. Zamknęła oczy, sycając się jego bliskością. - Pragnę cię bardziej, niż kiedykolwiek pragnąłem jakiegokolwiek kobiety - szepnął, całując ją w czoło, a potem obsypując całą jej twarz pocałunkami.

Abby drżała.

- Odszedłem, bo nie chciałem cię bardziej ranić - mówił dalej. - Ale przecież wróciłem, prawda? Nie potrafię cię zostawić, chociaż wiem, że powinienem.

- Więc mnie zatrzymaj...

Nagle wszystko inne przestało się liczyć, pragnęła tylko, żeby Luc był przy niej i żeby ten moment trwał wiecznie. Nie dbała o to, że później może cierpieć, nie miało to teraz żadnego znaczenia. Prawie nie zauważyła, kiedy znaleźli się znów w sypialni i chociaż mały domek zwany Cichym Zakątkiem w niczym nie przypominał luksusowego apartamentu hotelu Le Bristol, to świat znów odpłynął gdzieś daleko, a Abby widziała tylko Luca, którego pragnęła aż do bólu.

On zaś przyglądał jej się ze skupionym wyrazem twarzy i tylko lekki uśmiech czaił mu się w kącikach ust. Z wielką delikatnością i czułością w każdym geście zaczął ją rozbiierać.

Kiedy stała już przed nim naga, nie czuła się przestraszona ani skrępowana. Było cudownie, tak samo jak wtedy, a jednak inaczej. Ona była już inna, silniejsza, bardziej pewna. Wszystkie myśli uleciały i znikły, kiedy Luc spojrzał jej w oczy i lekkimi muśnięciami palców zaczął pieścić jej skórę.

- O tym marzyłem - rzekł z uśmiechem.

- Ja też - wyznała, rozpinając mu guziki koszuli.

Całując się, dotarli do łóżka. Przez otwarte okno słychać było szmer fal na piasku i daleki krzyk mew.

A potem nic już nie słyszeli, cały świat dookoła przestał istnieć, bo zatopili się w sobie nawzajem i nic więcej nie było im już potrzebne.

Abby weszła w świat miłości lekko, jakby tanecznym krokiem. Wiedziała, że wiąże się to z bólem, lecz nie było to nic przykrego, raczej diuna i poczucie, że dostąpiła pewnego wtajemniczenia. Tego jej brakowało. Świat, który dotąd widziała, jakby zza gęstego woalu, teraz objawił jej się w swojej pełnej krasie, a dusza nagle zyskała swą brakującą część.

Kiedy leżała potem w ramionach Luca syta i wyczerpana, pomyślała, że rzeczywistość przewyższyła wszystkie jej minione wyobrażenia. Nie było nic wspanialszego, niż kochać się z Lukiem, wyobraźnia nie była w stanie tego ogarnąć.

Popatrzyła na niego: miał zamknięte oczy, chociaż wiedziała, że nie śpi. Może chciał w ten sposób uniknąć kłopotliwej rozmowy?

Ale nie trzeba było już nic mówić, skoro wystarczająco jasno dał jej do zrozumienia, że więcej nie jest w stanie jej ofiarować. Nic więcej niż to - noc rozkoszy i dopełnienie obietnicy sprzed pół roku.

Czy było warto? To pytanie dudniło jej w głowie i domagało się odpowiedzi.

Tak, było warto - nawet jeśli wiązało się to ze smutkiem rozstania i z niedosytem.

Musiała usnąć, bo kiedy się ocknęła, w pokoju było ciemno i chłodno, a Luca przy niej nie było. Czyżby porzucił ją po raz drugi?

Bez kłopotu jednak odnalazła go na dole. Siedział w saloniku, z kieliszkiem whisky w ręku i z dziwnie nieobecnym wyrazem twarzy.

Wziął ją na kolana i bez słowa głaskał po włosach, kołysząc ją w ramionach jak dziecko.

Milczeli oboje i cisza stawała się coraz cięższa, dźwięcząca słowami niewypowiedzianymi, które Abby tak bardzo bała się usłyszeć: przepraszam, nic więcej dać ci nie mogę.

On jednak nic nie mówił i nie zmieniło to sytuacji ani na lepsze, ani na gorsze. Na rękach zaniósł ją z powrotem do sypialni i tam kochali się znowu. Abby wiedziała, że to już pożegnanie.

Tym razem, kiedy się obudziła, Luc spał obok niej i we śnie wyglądał na szczęśliwego i spokojnego. Oparła się na łokciu i przez chwilę patrzyła na niego, ciesząc się tym widokiem. Może śnił teraz o niej?

Leciutko palcem pogładziła go po policzku, musnęła jego brodę i czoło, jakby dotykiem starała się zapamiętać jego twarz. Cofnęła rękę, gdy się poruszył.

A potem, zanim odwaga zdążyła ją opuścić, wysunęła się z łóżka i szybko narzuciła na siebie ubranie. Nie czekając, aż się obudzi, pospiesznie wybiegła z pokoju.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Minęło sześć tygodni. Przez sześć tygodni Abby żałowała, że wymknęła się wtedy z Cichego Zakątka, zostawiając śpiącego Luca. Była to jedyna słuszna decyzja, lecz serce pękało jej z żalu. Przez sześć tygodni czekała, że ją odszuka, zadzwoni czy napisze - lecz nic takiego się nie stało. Milczenie i pustka rozciągały się w nieskończoność.

Czuła się nieszczęśliwa i przygnębiona, a po sześciu tygodniach odkryła, że skutkiem tamtej nocy jest nie tylko złamane serce.

Któregoś ranka w kuchni u Grace poskarżyła się, że drażni ją zapach cebuli.

Starsza pani zachichotała domyślnie.

- Gdybym cię nie znała, powiedziałabym, że jesteś w ciąży.

Abby zamarła, a uśmiech znikł natychmiast z twarzy starszej pani. Prawda wyszła na jaw nieoczekiwanie dla nich obu. Musiały chwilę ochłonać.

- Abby, przepraszam, jestem taka gruboskórna - próbowała się tłumaczyć. - Nie wiedziałam, że się z kimś spotykasz.

- Bo się nie spotykam - odpowiedziała ponuro.

- No i co teraz zrobisz? Oczywiście jest szansa, że to fałszywy alarm - Grace chciała dodać jej otuchy.

- No tak.

Abby wciąż była jak ogłuszona. Luc przecież się zabezpieczył, ale środki antykoncepcyjne też bywają zawodne. Instynktownie dotknęła dłońmi brzucha, gdzie może rozwijało się już nowe życie.

- Trzeba kupić test ciążowy. Są proste i raczej pewne - podsunęła Grace.

- Tak, masz rację. To chyba najlepsze, co mogę zrobić - przyznała Abby.

Wciąż jeszcze nie mogła dojść do siebie po wstrząsie, jakim było to niespodziewane odkrycie. Pomyślała, że ta rozmowa jest absurdalna i przypomina trochę teksty telewizyjnych reklam. Właściwie, jakie to miało znaczenie, czy testy ciążowe są proste i pewne? I bez tego nie ulegało wątpliwości, że jest w ciąży. Teraz złożyła sobie wszystko w całość: swoje zmęczenie, nudności, senność i wytłumaczenie było tylko to jedno.

Każdy, kto chodził do szkoły średniej, uczył się biologii i przygotowania do życia w rodzinie, wiedziałby, co to znaczy, i postawiłby właściwą diagnozę.

A więc była w ciąży. Nosiła w sobie dziecko Luca.

Nie zwlekając, pojechała do apteki w Helston. Przez całą drogę w głowie dudniło jej raz po raz: jestem w ciąży, jestem w ciąży, jestem w ciąży.

Test dostała bez kłopotu i nie czekając ani chwili, zrobiła go w toalecie pobliskiej kawiarni. Jego wynik nie pozostawiał już żadnych wątpliwości: na pasku pojawiły się dwie kreski. Naprawdę była w ciąży.

Potem pojechała z powrotem do Grace i nawet nie musiała nic mówić. Jej mina mówiła sama za siebie.

- Kochanie - powiedziała przyjaciółka, przytulając ją serdecznie - pamiętaj, że cokolwiek postanowisz, popieram cię w stu procentach.

Abby kiwnęła głową, chociaż wiedziała, że właściwie nie ma wyboru. Przecież nowe życie zaczęło już w niej rosnać. To było dziecko jej i Luca; musiała je urodzić.

Luc siedział przy śniadaniu w swoim hotelowym apartamencie w Paryżu, czytając gazetę. Odruchowo przerzucił strony dotyczące aktualności kulturalnych, przebiegł wzrokiem po tytułach, jakby czegoś szukał.

No i znalazł.

„*Cudowne Dziecko*” - w ciąży?

Dość niewyraźne zdjęcie przedstawiało Abby idącą ulicą w Londynie, a jakiś goriwy dziennikarz zakreślił na nim czerwonym kółkiem niewielką wypukłość jej brzucha.

To odkrycie mocno wstrząsnęło Lukiem, lecz natychmiast zaczął się zastanawiać - dlaczego Abby jest w Londynie? Co się stało? Co ona tam robi?

Przeczytał notatkę w kilka sekund. Były to plotkarskie rozważania na temat „nagłego końca kariery Cudownego Dziecka”, tajemniczego zniknięcia Abby i jej równie tajemniczego pojawienia się w ubiegłym tygodniu w Londynie.

Było to tylko kilka linijek i Luc pojął, że Abby nie stanowi już dla mediów większej atrakcji.

W każdym razie wyglądało na to, że rzeczywiście jest w ciąży. Wiedział też, bez cienia wątpliwości, że jest to jego dziecko.

Przez dłuższy czas siedział bez ruchu, zatopiony w rozmyślaniach. Kawa dawno już wystygła, a słońce przesunęło się na niebie i na podłodze kładły się coraz dłuższe cienie.

W końcu jakby otrząsnął się ze snu i wstał.

Zadzwoił do swojego asystenta i zamówił prywatny odrzutowiec.

- Proszę przysłać samolot do Paryża na czwartą po południu, bo o szóstej chcę być w Kornwalii - zarządził.

- *Oui, Monsieur le Comte.*

Luc podszedł do okna i popatrzył na Sekwanę. Zaczynała się wiosna i drzewa wiśni właśnie zaczynały kwitnąć. Przez chwilę podziwiał piękny widok, a potem zaczął się pakować. Musiał znaleźć Abby.

Nad morzem zapadał już liliowy zmierzch, kiedy Abby weszła do domu, w którym wynajmowała pokój. Było to mieszkanie bardzo skromne, ale przytulne, z ładnym widokiem. Westchnęła, wchodząc po schodach, bo od pewnego czasu coraz bardziej dokuczał jej ból w krzyżu. Na górze czekała ją niespodzianka.

- Dzień dobry, Abby. - Usłyszała znajomy głos.

Omam nie podskoczyła ze zdumienia. Na starym, rozchybotanym krześle siedział Luc. W półmroku pokoju nie bardzo mogła rozpoznać wyraz jego twarzy, ale czuła, że nie wróży on nic dobrego.

- Luc! - zawołała.

Była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co powiedzieć.

- Jak się tu dostałeś? - zapytała w końcu podejrzliwie.

- Tutejsi ludzie są bardzo sympatyczni i życzliwi, szczególnie kiedy im powiedziałem, że chcę ci zrobić niespodziankę... i że jestem ojcem twojego dziecka.

Abby jęknęła głucho i usiadła. Ładnie ją urządził! Już sobie wyobrażała, jak rozchodzą się plotki. Sama nie wiedziała, czy ma się gniewać czy martwić, i co z tego wyniknie, czy też poddać się irracjonalnej radości, która ją napełniała na sam widok Luca.

- Nie poprawiałaś mnie, więc rozumiem, że moje założenie jest słuszne - to moje dziecko, prawda? - powiedział, wskazując na jej wypukły brzuch.

- Sugerujesz, że oprócz ciebie miałam tu jakiegoś innego kochanka? - zaśmiała się z goryczą.

- Nie bądź taka zgryźliwa.

- A ty mi nie mów, jaka mam być - wybuchnęła. - Nie masz żadnego prawa mnie pouczać.

Luc zmrużył oczy jak kot, który ma zaatakować, i przybrał złowieszczy ton:

- A czy ty miałaś prawo ukrywać fakt, że będę ojcem?

- Ależ masz tupet, Luc. Ja nawet nie wiem, jak się nazywasz, nie znam twojego adresu. Wiem tylko, że mieszkasz w Langwedocji, ale to trochę za mało, nie uważasz? W ogóle nic o tobie nie wiem. Jak miałam ci powiedzieć o dziecku?

Luc jednak nie dał się wyprowadzić z równowagi.

- Podąłem nazwisko i adres twojej szefowej, kiedy zamawiałem posiłki do Cichego Zakątka. Mogłaś się od niej dowiedzieć.

- Może i mogłam. - Abby była tym bardziej wściekła, że zupełnie nie okazał skruchy, nic nie wyjaśniał, nie przeproszał. - Ale odniosłam wrażenie, że wcale ci nie zależy, żebym cię odszukała. Zresztą nie jestem Sherlockiem Holmesem.

- Z Sherlockiem Holmesem to pewna przesada - stwierdził chłodno. - A poza tym, kto nie chciał, żeby go odnaleźć? Kto tym razem odszedł w środku nocy? Ja czy ty, Abby?

- Niezbyt to miłe, prawda?

- A więc to miała być zemsta?

Abby z westchnieniem potrząsnęła głową. Nagle poczuła się słaba i zmęczona, poza tym ból w plecach nadal jej dokuczał i koniecznie musiała zażyć tabletkę paracetamolu.

- Nie chciałam zostawać tam do rana - powiedziała, szukając jednocześnie w apteczce upragnionego lekarstwa. - Wiedziałam, że czeka mnie tylko niemiła rozmowa o tym, jak to nie jesteś w stanie mi dać tego, na co zasługuję, i tak dalej i tak dalej.

Znów zaśmiała się z goryczą.

- Ja musiałabym wtedy kiwać głową i mówić, że w pełni cię rozumiem i że wiedziałam, na co się zgadzam, tak?

- Tak - potwierdził Luc po chwili milczenia. - Wyobrażałaś sobie, że tak właśnie będzie?

- Chcesz powiedzieć, że mogło być inaczej?

Pokiwał głową.

- Teraz liczy się tylko to, że jesteś w ciąży, i to jest moje dziecko. To wszystko zmienia.

Abby jednak nie widziała tego tak jasno jak on.

Połknęła od razu dwie pigułki i usiadła ciężko na łóżku. Naprawdę czuła się zmęczona, nie przypuszczała, że ciąża jest czymś tak wyczerpującym.

Luc chciał jeszcze wiedzieć, po co w ubiegłym tygodniu jeździła do Londynu, chyba obawiał się, że chciała pozbyć się ciąży.

- Chodzi ci o aborcję? - zapytała wprost, wskazując swój wypukły brzuch. - Tego na pewno nie zrobię.

- To byłoby straszne, gdybyś zdecydowała się na aborcję, nie mówiąc mi nawet o dziecku - powiedział cicho.

- Pewnie równie straszne, jak zostawienie mnie samej w hotelu, żebym dopiero od pokojówki dowiedziała się, że: „ten pan wyprowadził się dziś w nocy” - warknęła Abby.

- Przepraszam, że tak to wyszło - odparł. - Ale już o tym mówiliśmy, Abby, i już cię za to przeprosiłem. Czy musimy ciągle do tego wracać?

- Nie, nie musimy - westchnęła ciężko. - W ogóle nie musimy o niczym rozmawiać.

- Dlaczego jesteś na mnie taka zła? - zapytał, delikatnie ujmując ją za ramię. - Jesteś bardziej rozgniewana niż przedtem. Czy to chodzi o dziecko...?

- Nie, nie o dziecko - burknęła. Właściwie sama nie wiedziała, o co jej chodzi. Próbowала nazwać różne sprzeczne ze sobą uczucia, które ją przepełniały, i nie umiała. - Sama nie wiem, Luc - przyznała w końcu. - Może to są nastroje związane z ciążą. Jedno jest pewne, że mam już dosyć tego, jak znikasz, albo pojawiaasz się w moim życiu, kiedy ci się podoba, a ja nie wiem, jakie jeszcze niespodzianki masz w zanadrzu.

Luc potrząsnął głową. Był zdania, że teraz należy myśleć o przyszłości, i Abby czuła, że miał rację. W końcu odszukał ją, kiedy tylko dowiedział się o jej stanie. Z pewnością był gotów wziąć odpowiedzialność za dziecko. Tylko co to miało znaczyć konkretnie?

Czy w jego życiu było miejsce dla dziecka? A dla niej?

Poczuła się przytłoczona ilością problemów, z którymi musiała się zmierzyć; poczuła, że robi jej się słabo i mdło.

Zamknęła oczy i zachwiała się lekko, co nie uszło uwagi Luca.

- Wyglądasz, jakbyś miała zaraz zemdleć! - wykrzyknął i nie chciał słuchać wyjaśnień, że to tylko zmęczenie.

Kiedy przyznała, że od rana nic nie jadła, nie krył oburzenia.

- Jesteś... w którym miesiącu ciąży? W czwartym... piątym? I nie odżywasz się regularnie?

- W piątym. I nie musisz tak panikować, na pewno się nie głodzę.

Luc jednak natychmiast przejął inicjatywę. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli wybiorą się do pobliskiego pubu i Abby zje porządny obiad. Obawiała się, że wzbudzą plotki, on jednak niewiele sobie z tego robił i w końcu musiała ustąpić.

Szli główną ulicą wioski, wzdłuż morza. Niespokojne fale rozbijały się o brzeg i uderzały w łodzie rybackie stojące na piasku. Ten głuchy, regularny dźwięk dziwnie wyprzedzał Abby z równowagi. Nie rozmawiali. Wkrótce jednak doszli do jedyne go pubu, białego domu krytego strzechą. Tutaj wszystko było blisko.

Kiedy siedzieli już przy obiedzie, Luc zauważył:

- Bardzo się zmieniłaś od czasu, gdy cię poznałem. Byłaś taka pełna zapału... wszystko cię zachwycało. Teraz wydajesz mi się bardziej... cyniczna.

- Po prostu jestem realistką, przedtem bujałam w obłokach.

- Czy to przeze mnie? I tego, co między nami zaszło?

- Z powodu wielu rzeczy, Luc - odpowiedziała. - Na pewno tamta noc z tobą w Paryżu też się do tego przyczyniła. Poza tym straciłam wszystkie pieniądze, które posiadałam. Straciłam radość, jaką dawała mi muzyka. Wszystko, co dotąd wydawało mi się pewne, załamało się i znikło. - To wyliczanie było bolesne, nie chciała dać się wciągnąć

przykrym wspomnieniom. - Nie jestem cyniczna, nie jestem nawet realistką, Luc. Po prostu jestem znowu sobą. Nawet już nie pamiętam, kim byłam, zanim zaczęłam występować. Dopiero teraz czuję się naprawdę wolna. Nareszcie mogę mówić, co chcę, i robić, co chcę - bo nie muszę spełniać niczyich oczekiwań. Nie ma publiczności ani prasy, która by śledziła każdy mój ruch. Pewnie nawet nie wyobrażasz sobie, jakie to jest cudowne uczucie.

- I od tamtej pory nigdy już nie grałaś?

- Nie. Tak jest na razie lepiej.

Nie powiedziała mu całej prawdy. O tym, że czasem budzi się w środku nocy i wyciąga ręce, jak nad klawiaturą, bo śniło jej się, że gra. O tym, że w głowie wciąż słyszy muzykę, a palce bezgłośnie wybijają rytm. I że boi się, że zagra, ale jej muzyka będzie martwa i bezduszna.

Luc przyglądał jej się uważnie.

- Jesteś szczęśliwa - orzekł po namyśle.

- Jestem zadowolona - odparła. - I mam na tyle uczciwości, żeby przyznać, że taszczenie pudeł z zaopatrzeniem nie jest moim sposobem na resztę życia, nawet w tak pięknym miejscu jak Kornwalia. Ale na razie...

Luc zmarszczył brwi z niedowierzaniem. Nie mieściło mu się w głowie, że kobieta w piątym miesiącu ciąży może jeszcze dźwigać jakieś pudła.

Abby nie widziała w tym nic nadzwyczajnego; położna powiedziała jej, że może pracować, tylko nie powinna się przemęczać.

Nie uniknęli kolejnej przykrej różnicy zdań. Dla niego nie ulegało wątpliwości, że Abby nie powinna już pracować fizycznie, ona natomiast nie dopuszczała myśli, że miałby jej cokolwiek narzucać.

- Tak czy owak - ciągnął Luc - Nie zaczęliśmy nawet omawiać sprawy podstawowej, to znaczy, co zrobimy, jak urodzi się dziecko.

Mówił w liczbie mnogiej i Abby uświadomiła sobie z pewną ulgą, że tym razem nie zamierza jej opuścić. Czowała jednak, że nie robi tego dla niej, a wyłącznie dla dziecka. To była zresztą jedna z przyczyn, że nie zawiadomiła go, że jest w ciąży. Nie potrzebowała litości.

Kelner zbierał talerze, podawał kolejne danie i to dawało jej chwilę czasu na zebranie myśli. Straciła apetyt, nie przychodziło jej też do głowy, co mogłaby jeszcze powiedzieć.

Luc najwyraźniej nie miał tego problemu.

- Oczywiście, moje dziecko musi mieć ojca, który bierze udział w jego wychowaniu - oświadczył.

- Dobrze - rzekła w końcu, przybierając rzeczowy ton. - Może odwiedzałyś je co drugi weekend?

- Nie mam zamiaru być weekendowym tatusiem - nie dawał się zbyć.

- Skoro mnie nie miałeś nic do zaoferowania, to skąd nagle ten przyływ uczuć do mojego dziecka?

Abby była zła i rozżalona.

- Do naszego dziecka - poprawił ją.

Zamknęła oczy, po raz kolejny tego dnia odczuwając zmęczenie i zniechęcenie. Musiała mu się przyznać, że właściwie dotąd nie sięgała myślą dalej niż do porodu. Ciężko przechodziła pierwsze miesiące ciąży, żyła z dnia na dzień. Trzeba było coś zaplanować na przyszłość, lecz nie czuła się na siłach decydować o tym teraz.

Luc mógł zostać w Kornwalii przez tydzień, było więc jeszcze trochę czasu. Tylko czy będzie miała siłę, by z nim walczyć? Kategoriecznie zabronił jej dalszej pracy u Grace, nie podobało mu się też, że mieszka sama. Był despotyczny.

Kiedy po obiedzie wyszli z pubu, poczuli zimny podmuch morskiej bryzy.

Luc odprowadził Abby do domu i pomógł otworzyć drzwi, bo była zbyt roztrzęsiona i wyczerpana, by dać sobie radę z kluczem. Sam wynajął sobie lokum gdzieś w okolicy.

- To jest dla mnie za trudne - wyszeptała, stojąc tuż przy nim. - Chodzi o nas, Luc. O to, że właściwie żadnych „nas” nie ma. I nigdy nie było. Mieliśmy dwie wspólne noce i nic więcej. Nie potrafię sobie z tym poradzić.

Luc przez chwilę milczał. Delikatnie pogłaskał ją po policzku.

- Postaram się urządzić wszystko jak najlepiej i najwygodniej dla ciebie, Abby - rzekł w końcu. - Obawiam się, że tylko tyle mogę ci obiecać.



Abby kiwnęła głową, gardło miała ściśnięte.

Pomyślała, że to jej wina, że czuje zbyt wiele, podczas gdy Luc za mało. Jakoś będzie musiała się do tego przyzwyczaić, odepchnąć na bok uczucie żalu, krzywdy i co najgorsze, zdradliwej nadziei, która już zaczynała kiełkować w jej sercu.

To była jakaś gorzka ironia losu: nosiła dziecko Luca, a on był przy niej, gotów kochać i chronić. I nie mogła się z tego cieszyć, bo gotów był kochać i chronić swoje dziecko i tylko dziecko, a nie ją, która tak bardzo była spragniona miłości.

Zastanawiała się, w którym momencie sprawy się powikłały i przybrały tak fatalny obrót.

TLR

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wypadek zdarzył się rano.

Abby spędziła noc prawie bezsennie, a rano wstała za późno i nawet nie zjadła śniadania, żeby zdążyć na czas do pracy. W jednej chwili zbiegała po schodach, z kurtką przerzuconą przez ramię... a zaraz potem pociemniało jej w oczach i straciła przytomność.

Kiedy się ocknęła, miała wrażenie, że jest pod wodą i unosi się w górę, ku powierzchni, przez którą gdzieś z daleka prześwieca słońce. Otworzyła oczy i zamrugowała parę razy. Dopiero wtedy zaczęło do niej docierać, gdzie jest naprawdę i co się z nią dzieje.

Leżała w szpitalnym łóżku, a przy niej siedział Luc.

Rozpromienił się, zauważywszy, że otworzyła oczy, a Abby przez moment miała ochotę śpiewać z radości. Przez tę jedną chwilę wydawało jej się, że wszystko jest możliwe. Zaraz potem Luc znowu spochmurniał i czar prysł.

- Leżałaś jak nieżywa przez ponad godzinę - powiedział.

- Naprawdę? - zapytała z ciekawością, bo jakoś nie chciało jej się wierzyć, że ot tak, po prostu straciła przytomność.

- Tak, naprawdę - potwierdził. - Znalazłem cię leżącą u stóp schodów - całe szczęście, że przy okazji nie skręciłaś sobie karku!

- To szczęście, że drzwi były otwarte.

- Właśnie, dlaczego były otwarte? Nie zamknęłaś ich na noc?

Cała ta ostrożność wydała się Abby przesadna i już miała coś powiedzieć, gdy nagle poraziła ją przerażająca myśl...

- Czy ja... czy dziecko...? - zaczęła z drzeniem w głosie.

- Lekarka słuchała tętna dziecka, kiedy tylko cię tu przywiozłem - powiedział Luc i uspokajającym gestem pogładził jej dłoń. - Wygląda na to, że wszystko jest w porządku, ale na wszelki wypadek chce ci jeszcze zrobić USG.

Abby odetchnęła z ulgą. Paraliżujący lęk, że coś mogło stać się dziecku, mijał powoli, a serce wciąż waliło jej jak oszalałe.

Kilka minut później do pokoju weszła lekarka, młoda, sympatyczna brunetka około trzydziestki. Przyznała, że wypadek Abby napędził wszystkim stracha. Tymczasem w szpitalu zdążyli już zrobić jej analizę krwi, z której wynikało, że ma trochę anemii i powinna brać tabletki żelaza.

- A czy bierze pani witaminy dla ciężarnych? - upewniła się lekarka.

Abby z satysfakcją potwierdziła, bo bardzo jej zależało, żeby Luc usłyszał, że potrafi sama o siebie zadbać.

Lekarka przystąpiła do badania USG i już po chwili na monitorze urządzenia pokazał się malutki embrion, który miał rączki i nóżki, poruszał się, a jego serduszko biło szybko i głośno.

Abby aż wstrzymała oddech.

- A więc mały człowieczek ma się dobrze. - Z uśmiechem oznajmiła lekarka.

- To chłopiec? - nie wytrzymała Abby.

- Człowieczek to może być i on, i ona - zaśmiała się lekarka. - Ale powiem, powiem, jeśli będzie pani chciała. Najpierw jednak chciałabym wszystko sprawdzić.

Abby słuchała zachłannie każdego słowa lekarki, która kolejno przyglądała się wszystkim częściom ciała płodu i komentowała to na bieżąco.

- Serduszko, wątroba, płuca - zdrowe. Wszystko na swoim miejscu, rozwija się prawidłowo - zakończyła.

- To cudownie - wyszeptała Abby i zerknęła spod oka na Luca, który wpatrywał się w monitor jak zaczarowany.

Okazało się jednak, że jest też pewien problem.

- Proszę spojrzeć tutaj. - Lekarka wskazała palcem jakieś miejsce na obrazie komputerowym. - Ma pani łożysko przodujące. To się zdarza dość często i oznacza, że łożysko blokuje ujście szyjki macicy, co może stanowić pewne zagrożenie dla dziecka w czasie porodu. Dlatego musimy to obserwować. Bardzo możliwe, że problem sam zniknie przed końcem ciąży.

Uśmiechnęła się miło do Abby, która z trudem panowała nad nerwami.

- Na razie jednak będzie pani musiała zmienić trochę tryb życia. Żadnego biegania po schodach, żadnego dźwigania ciężkich rzeczy, no i niestety - trzeba będzie zrezygno-

wać z seksu - powiedziała. - Zapisalam panią na kolejne badanie USG za miesiąc i może do tego czasu wszystko wróci do normy. A teraz, chcecie państwo wiedzieć, czy to chłopiec czy dziewczynka?

Tak, chcieli oboje.

- A więc, macie piękną, malutką dziewczynkę - ogłosiła lekarka.

Dziewczynka. Córeczka. Luc z trudem był w stanie w to uwierzyć.

Lekarka pozwoliła Abby wracać do domu. Luc pomagał Abby wstać z łóżka i ubrać się; kręciło mu się w głowie z wrażenia. A więc mieli córeczkę!

Abby była blada. Przypomnił sobie, jak parę godzin temu znalazł ją leżącą u stóp schodów. To był najgorszy moment w jego życiu, no może drugi w kolejności, ale tak samo straszny. Wyglądała wtedy jak martwa - krucha, piękna i nieruchoma niczym woskowa lalka. Przez ułamek sekundy myślał, że ona nie żyje i nagle świat jakby stanął w miejscu, a on razem z nim.

Wtedy jednak Abby wydała cichy jęk, a on natychmiast rzucił się jej na ratunek, odepchnąwszy wszystkie myśli, wspomnienia i lęki. Liczyło się tylko zdrowie i bezpieczeństwo jej i dziecka.

Wziął ją na ręce i ze zdumieniem zauważył, że nawet w ciąży jest lekka jak piórko. Modlił się w duchu, żeby tym razem nie spotkało go to najgorsze... żeby przeżyła...

Najpierw ogarnęło go poczucie bezsilności i rozpacz, a zaraz potem żal i poczucie winy. Nie powinien był jej zostawiać samej. Powinien był z nią zostać. Powinien to... powinien tamto...

Za to w szpitalu, kiedy otworzyła oczy, poczuł się, jakby odzyskał życie, coś tak cennego i ulotnego. Zaraz jednak stłumił w sobie to uczucie i z powrotem przybrał maskę surowej obojętności, swoją zwykłą zbroję, która chroniła go przed cierpieniem.

Po drodze mieli jeszcze wstąpić do apteki, a Abby zapragnęła także wejść do Grace.

- Będziesz musiała złożyć wypowiedzenie - zauważył.

- Chyba tak.

- Nie chyba, tylko na pewno.

Abby tylko westchnęła, a on sam złapał się na tym, że wciąż sam chce o wszystkim decydować, że w sposób nieznośny narzuca jej swoją wolę. Cóż, chciał zapewnić jej bezpieczeństwo, jakiego nie potrafił zapewnić Suzanne.

Ale Abby była odpowiedzialną, dorosłą osobą i umiała podejmować własne decyzje. Wiedział, że musi jej na to pozwolić.

- Cóż, niedługo będziemy musieli coś postanowić - powiedział jednak mimo woli.

- Dobrze - mruknęła na wpół sennie. - Czuła się bardzo zmęczona.

Kiedy przyjechali do domu, Luc pomógł jej wysiąść z samochodu i wejść na schody. Potem położył ją do łóżka, a Abby przyjmowała to wszystko z niemal dziecinną uległością.

Upewniwszy się, że jest bezpieczna, wyszedł, obiecując, że zaraz wróci.

Chyba spała, bo kiedy otworzyła oczy, w pokoju panował już półmrok, zaczynało się zmierzchać.

Z radością stwierdziła, że Luc znów jest tuż obok. Z pubu przyniósł jej coś ciepłego do jedzenia, a Abby odkryła, że zdążyła naprawdę zgłodnieć.

- To dobry znak - oświadczył. - Martwiłem się, że jednak mocno uderzyłaś się w głowę i chociaż lekarze wykluczyli wstrząs mózgu, mogło to być poważniejsze, niż sądzili.

Wzruszała ją troskliwość Luca, lecz nie mogła znieść myśli, że wszystko, co dla niej robi, robi tylko ze względu na dziecko. Tak pragnęła, żeby ją kochał.

Z apetytem zjadła pożywną zupę, zagryzła świeżym chlebem i popiła gorącą, mocną i słodką herbatą z mlekiem, którą Luc przyrządził dokładnie tak, jak lubiła. Dopiero kiedy była już syta i wyglądało na to, że choć trochę odzyskała siły, znów podjął temat, z którym zmagali się od wczoraj.

- Abby - zaczął - musimy porozmawiać o przyszłości. Nie możesz dalej żyć tu jak do tej pory. Chyba sama to rozumiesz?

- Rozumiem - odpowiedziała po dłuższej chwili - że nie mogę dłużej nosić tych pudeł.

- Ani sama mieszkać, jak dotąd. Słyszałaś, co mówiła lekarka.

- No to co mam robić? - zbuntowała się. - Leżeć w łóżku przez następne cztery miesiące?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale musisz mieć spokój i odpoczywać, bez stresu związanego z pieniędzmi, jedzeniem i tak dalej.

- Brzmi miło - zaśmiała się. - Jakkolwiek...

- Abby, chcę, żebyś pojechała ze mną do Francji - przerwał jej w pół zdania.

Na chwilę znieruchomiała, zaskoczona tą propozycją, lecz zaraz odzyskała przytomność umysłu.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - odpowiedziała powoli.

- Jest to jedyne sensowne rozwiązanie - rzekł ostro. - Ja nie mogę zostać w Kornwalii, a ciebie nic tu nie trzyma.

- A moja praca... i Grace?

- Z tą pracą będziesz musiała skończyć, a Grace będzie przecież mogła cię odwiedzić, jeżeli tak ją lubisz. Ty potrzebujesz opieki.

- Nie jestem kaleką...

- Na szczęście nie, ale jesteś osłabiona i przemęczona i masz początki anemii. Naprawdę wymagasz opieki, spróbuj to zrozumieć! - Przerwał na chwilę, po czym dokończył, już spokojniej, ważąc każde słowo: - Oczywiście może ci nie odpowiadać moje towarzystwo, to może być krępujące dla nas obojga, ale przecież dla dobra dziecka warto zdobyć się na pewną niewygodę, prawda?

Brzmiało to tak, jakby wspólne spędzanie czasu było równoważne zażywaniu jakiegoś wyjątkowo niedobrego lekarstwa. Może dla niego tak to wyglądało.

I właśnie dlatego nie mogła się zgodzić na ten wyjazd, chociaż całym sercem wyrwała się do podróży.

Teraz chciała rozważyć inne możliwości:

- Mogłabyś zamieszkać u swojej matki? - zaczął wyliczać.

- Nie, ona jest zbyt zajęta.

Abby nawet nie chciała myśleć o gnieźdzeniu się wraz z matką w małym domku szeregowej zabudowy w Manchesterze. Musiałaby tam wysłuchiwać ciągłych kazań na temat wskrzeszenia jej muzycznej kariery i ta perspektywa była dla niej odstrasżająca.

- No, a twój ojciec?

- On jest na tournée.

Musiała mu wyjaśnić, że gdy ona zrezygnowała z koncertowania, ojciec sam powrócił do muzyki, nawiązał kontakt z agentem i przez najbliższe kilka miesięcy miał być w trasie koncertowej. Właśnie w związku z tym była ostatnio w Londynie.

Kiedy odrzuciła ostatnią możliwość, jaką było wynajęcie pielęgniarki, która by się nią opiekowała, okazało się, że wrócili do punktu wyjścia.

- Dlaczego tak cię to obchodzi, gdzie ja będę, Luc? - zapytała cicho. - Nie chodzi ci wcale o mnie, prawda? Tylko o dziecko.

Niby i tak o tym wiedziała, ale chciała usłyszeć bolesną prawdę wprost od niego.

- Zrobiłem w życiu sporo poważnych błędów - odpowiedział po dłuższym namyśle. - Nie chcę popełnić ich po raz drugi.

- Czy mówisz... o swojej żonie?

- Tak. O Suzanne.

Nieżyjąca żona Luca nagle przestała być dla Abby postacią abstrakcyjną i odległą. Miała imię i swoją historię. To było coś nowego.

- Suzanne? - powtórzyła.

Luc jednak uparcie powracał do tematu, który rozważali przedtem. Zapewniał Abby, że jeśli pojedzie z nim do Francji, będzie mogła odpocząć, a on zrobi wszystko, żeby zapewnić jej wygodę.

- Będiesz nawet mogła zrealizować jedno ze swoich marzeń: możesz nauczyć się gotować. To byłoby zajęcie jednocześnie przyjemne i pożyteczne. Już ci mówiłem, że ja gotować nie umiem.

Wszystko to w teorii wyglądało pięknie i brakowało tylko jednego - tego, żeby ją kochał. Czowała, że jest coraz bardziej bezradna i bezsilna. Broniła się dotąd, żeby się w nim nie zakochać, ale co będzie, jeśli zamieszkają razem?

- Abby, zgódź się - prosił ją.

Wiedziała, że powinna odmówić, musiały być inne możliwości; tu wkraczała na niebezpieczny grunt, ryzykowała. Z absolutną, stuprocentową pewnością powinna powiedzieć: nie. A jednak szepnęła:

- Tak.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Już następnego dnia wyjechali do Francji.

Kiedy tylko Abby wyraziła zgodę, Luc natychmiast przystąpił do działania. Zdążyła tylko spakować torbę podróżną, wymówić mieszkanie i zawiadomić Grace, że wyjeżdża.

Luc był bogaty, co znakomicie ułatwiało załatwienie większości spraw. Zupełnie jakby miał czarodziejską różdżkę.

Grace przy pożegnaniu nie kryła troski o swą młodą przyjaciółkę, dopytywała się, jak długo zna Luca i czy na pewno jest on godzien zaufania.

- Zaufałabym mu nawet wtedy, gdyby chodziło o moje życie - zapewniła Abby żarliwie.

Rzeczywiście, czuła, że jest uczciwy, troskliwy i odpowiedzialny.

Niestety nie umiał jej pokochać.

- No, to jedź szczęśliwie, Abby - powiedziała Grace, trochę zasmucona. - Będę za tobą tęsknić.

- Ja też. Zresztą niedługo będę z powrotem.

- Czyżby?

W tym momencie Abby uświadomiła sobie, że wcale nie wie, jak dalej ułoży się życie jej i dziecka.

Może Luc będzie chciał je zatrzymać we Francji, żeby być bliżej córeczki?

Uściskały się serdecznie, obiecując sobie nawzajem, że pozostaną w kontakcie.

Tego samego popołudnia Luc zawiózł Abby samochodem na swój prywatny pas startowy w okolicy Exeter. Tam wsiedli razem na pokład należącego do niego odrzutowca.

Abby z niedowierzaniem rozglądała się po luksusowo wyposażonym wnętrzu. Bogactwo Luca przekraczało jej wyobrażenia.



- W jaki sposób zarabiasz na życie? - zapytała i uświadomiła sobie, że po raz pierwszy zadaje mu tak przyziemne, choć podstawowe pytanie.

- Zarządzam majątkiem - odparł krótko.

- Czyim?

- Własnym.

- *Vous etes pret, Monsieur le Comte?* - zapytał, podchodząc do nich, jeden z członków obsługi.

- *Oui. Merci, Jacques.*

Wiadomość, że ma do czynienia z hrabią, zupełnie Abby oszołomiła. Luc jednak wzruszył ramionami.

- To nie ma większego znaczenia.

- Należysz do arystokracji? - Wciąż nie mieściło jej się to w głowie. - Myślałam, że wszystkie szlacheckie tytuły zniosła Rewolucja Francuska.

- Tak było, ale część z nich potem przywrócono. Oczywiście nie mamy już żadnej władzy, to tylko tytuł.

No i pieniądze, a może i posiadłości ziemskie, dodała Abby w myśli.

- A więc, jak brzmi twoje pełne nazwisko? - zapytała.

- Jean-Luc Toussaint, *Comte de Gévaudan* - odparł niechętnie.

To brzmiało jak w bajce.

- Hrabia - powiedziała Abby po namyśle. - Czy to znaczy, że gdyby nasze dziecko było chłopcem, to odziedziczyłoby tytuł?

- Tylko wtedy, gdybyśmy byli małżeństwem.

Małżeństwo było sprawą, o której nawet nie wspominali. Zresztą Abby nawet by tego nie chciała; małżeństwo z konieczności wydawało jej się jakimś koszmarem i nie mogło się udać, nawet dla dobra dziecka, jeśli nie było w nim miłości. Miała wrażenie, że Luc też by tego nie chciał.

Tymczasem samolot nabierał prędkości na pasie startowym i po chwili byli już nad chmurami, a ze wszystkich stron otaczał ich błękit.

Jacques podał im napoje.

Ponieważ Luc zajął się jakimiś papierami, które miał ze sobą, Abby czuła się nieco odtrącona. Przymknęła oczy i próbowała zasnąć.

Luc siedział ze wzrokiem wbitym w papiery, lecz zupełnie nie mógł się skupić.

Zastanawiał się, czy decyzja, żeby zabrać Abby do Francji, była słuszna. Ona nie chciała jechać, widział to wyraźnie. A on nie powinien był się upierać, żeby jechała z nim do Francji, a już szczególnie do Langwedocji, gdzie zostało jego serce i wspomnienia. Do tej pory unikał zarówno swego wiejskiego domu, jak i zamku. Oba stały puste i zamknięte. Omijał nawet ten region.

A jednak jakiś pierwotny instynkt kazał mu przywieźć Abby właśnie tutaj. Do domu.

Myślał o tym, co może przynieść dalsze utrzymywanie związku z Abby, czy była dla nich jakaś nadzieja? Odpowiedź zdawała się oczywista: będą mieli dziecko. Byli potrzebni maleństwu, które miało się urodzić, a więc i sobie nawzajem.

Na chwilę dopuścił do siebie myśl o dziecku, które mógł mieć. Gdyby Suzanne donosiła ciążę, miałyby teraz trzy lata. Z trudem wyobrażał sobie, jak wyglądałoby teraz jego życie - miałby rodzinę, żonę, dziecko, dom. To wszystko stracił, a teraz dziwnym zrządzeniem losu otrzymał drugą szansę. Czy tym razem jej nie zmarnuje?

Znów ogarnęło go poczucie winy. Zawiódł Suzanne i nie potrafił dać jej szczęścia. Miał wątpliwości, czy powinien był wkraczać w życie Abby, ale to już się stało. Teraz obiecał sobie, że jej już nie zawiedzie. Nie mógł cofnąć czasu, lecz zapragnął odwrócić zły los.

Samolot wylądował na prywatnym lądowisku w pobliżu Avignonu, a ich rzeczy od razu zostały przeniesione do czekającego już tam luksusowego sedana. Luc usiadł za kierownicą, Abby przy nim i już po chwili pędzili wąską szosą wzdłuż rzeki Rodan.

Od pierwszej chwili poczuła, że jej się tu podoba. Niebo było bezchmurne i błękitne, powietrze przepojone zapachem tymianku i lawendy. Wzdłuż rzeki rozciągały się pola i łąki w rozmaitych odcieniach zieleni, w oddali widać było skaliste szczyty Pirenejów.

- Długo będziemy jechać? - zapytała.

- Najwyżej pół godziny. Mój dom jest trochę na południe od Pont-Saint-Espirit.

Skręcili z bocznej drogi w jeszcze węższą. Abby wychyliła się przez okno i z zainteresowaniem obserwowała okolicę. Przejeżdżali obok wysokiego, kamiennego muru, w którym była brama z kutego żelaza, opatrzona ozdobnym napisem: *Château Mirabeau*. Nad koronami drzew widać było szczyt wieży. Abby już chciała zapytać, co to za zamek, lecz widząc napięcie w twarzy Luca, powściągnęła ciekawość.

I już za chwilę zatrzymali się przed starym, wiejskim domem z kamienia.

- To skromny dom - powiedział Luc - ale zapewniam cię, że będzie ci tu wygodnie.

Abby kiwnęła głową, gardło miała ściśnięte z wrażenia. Dom, przed którym stała, to był dom, jaki wyobraziła sobie już wiele tygodni temu, myśląc o Lucu.

Zbudowany był ze starego piaskowca, kryty czerwoną dachówką, w oknach miał kolorowe żaluzje. Abby stała jak zaczarowana, dopóki Luc nie wziął jej za rękę i nie zaprowadził do środka.

Wnętrze było zmodernizowane i tworzyło dużą, funkcjonalną przestrzeń, wyposażoną w wygodne, miękkie sofy i krzesła ustawione naprzeciw potężnego, kamiennego kominka.

Kuchnia wyglądała na miejsce idealnie przystosowane do gotowania, z szafkami w kolorze jasnego dębu i podłogą z terakoty, zalaną teraz słońcem.

Powitał tu Abby puszysty szary kot, który wychynął gdzieś z kąta i głośno mrużąc, zaczął ocierać się o jej stopy.

Okazało się, że to Sophie, prócz niej była tu jeszcze kotka Simone, w czarne prążki. Luc jednak odnosił się do kotów zdecydowanie bez entuzjazmu i Abby zastanawiała się dlaczego. Czy należały do jego żony i teraz mu ją przypominały? Nie śmiała o to pytać.

- Gdzie mam spać? - zapytała po dłuższej chwili milczenia.

Na górze były trzy sypialnie i pozwolił jej wybrać tę, która jej się spodoba.

Po wąskich, kręconych schodach poszła więc na pięterko, żeby się rozejrzeć. Wybrała sobie ładny pokój z dużym łóżkiem, starą, mahoniową komodą i wspaniałym widokiem na falujące w blasku wiosennego słońca pola lawendy.

Czuła się, jakby już tu kiedyś była, wszystko dookoła wydawało jej się bliskie i znajome. Miała wrażenie déjà vu. To było zdumiewające i irracjonalne, lecz głęboko w sercu czuła, że znalazła swoje miejsce, dom.

Westchnęła. Tak mogłoby być, gdyby sprawy wyglądały inaczej, gdyby Luc ją kochał...

Kiedy się trochę wychyliła, z jej okna widać też było dachy zamku, który nie przedstawiał jej intrygować. Czy należał do Luca? Hrabia powinien przecież mieć zamek. A może go sprzedał? Czy mieszkał tam dawniej z żoną, a teraz po jej śmierci bał się związanych z nim wspomnień?

Musiała odłożyć te pytania na później.

Resztę dnia spędziła, odpoczywając po podróży. Następnego dnia mieli się wybrać do Pont-Saint-Esprit po zakupy, a potem Abby postanowiła zacząć naukę gotowania.

Tego pierwszego wieczoru stwierdziła z przykrością, że od powrotu do domu Luc gwałtownie się zmienił. Z jego twarzy znikł nawet cień uśmiechu, mało się odzywał, był chłodny i zamknięty w sobie. I jak tylko mógł najszybciej, pograżył się w pracy.

Ranek wstał słoneczny i ciepły; tak jak było w planie, wybrali się do miasta po zakupy. Był to dzień targowy, kiedy kupić można najlepsze świeże warzywa i owoce, pewnego rodzaju okazja i atrakcja.

Abby z radością powitała perspektywę przejażdżki i poznania lepiej okolicy, szczególnie że ponura atmosfera w domu zaczynała jej ciążyć. Gdyby wiedziała, jak Luc będzie się zachowywał, na pewno nie przyjechałaby z nim do Francji, mimo że nie miała zbyt dużo innych możliwości.

Zostawili samochód w centrum miasta i dalej poszli pieszo, wąskimi, brukowanymi uliczkami. Wstępowali do malutkich, przykurzonych sklepików, oglądali różnobarwne produkty porozkładane na targowych stoiskach.

Abby była zachwycona i oszołomiona bogactwem i różnorodnością sprzedawanych tu towarów. Podziwiała szklane butelki i słoje wytwarzanej w tej okolicy oliwy, misy oliwek, skrzynie pełne pomarańczy, warkocze czosnku i cebuli. W krótkim czasie zdążyła napęłnić niesiony przez Luca kosz. Obserwował jej zakupy z lekkim zdziwieniem.

- Będziesz z tego gotować? - zapytał.

- Oczywiście - odpowiedziała z zapalem. - Potrzebna mi będzie tylko książka kucharska.

- Jest w domu kilka, ale po francusku. Mam nadzieję, że to nie będzie problem?

- *Bien sur, non* - odpowiedziała Abby beztrąsko, co wywołało blady uśmiech na twarzy Luca.

Zatrzymała się przy stoisku z winami i ze zdziwieniem zauważyła na jednej z butelek napis: „Château Mirabeau”. Tak nazywał się przecież zamek w pobliżu domu Luca. Na nim jednak nie zrobiło to żadnego wrażenia.

Rozglądając się dookoła, Abby uświadomiła sobie, że sprzedawca win kłania się Lucowi z niemal nabożną czcią. No cóż, musiał go znać. Luc był przedstawicielem miejscowej arystokracji, pewnie wszyscy go tu znali.

Na pewno się dziwili, co tu z nią robi, i pamiętali jego żonę.

Nagle dotarło do niej, że oboje są obiektami ogólnego zainteresowania, że towarzyszą im ukradkowe spojrzenia i komentarze i zapragnęła jak najszybciej wydostać się z tłumu kupujących. Fascynujący, wielobarwny targ nagle stracił dla niej urok i pod pretekstem, że jest już zmęczona, skłoniła Luca do powrotu.

Z ulgą wsiadła do samochodu.

To, że wzbudzali zainteresowanie, nie powinno być dla niej niczym szczególnym, w końcu, jako znana pianistka, sama była osobą rozpoznawalną. Tylko że tutaj niepokoiło ją to co niewiadome i niezrozumiała dla niej przeszłość.

- Wszyscy cię tu znają - zagadnęła. - A przecież mówiłeś, że mało tu przebywasz. Mieszkałeś tu kiedyś? Z Suzanne?

- Tak.

- Na co ona umarła?

- Zginęła w wypadku samochodowym. Niedaleko stąd.

Gestem ręki wskazał na szosę i na leniwie płynącą rzekę.

- To był zupełnie prosty odcinek - dodał. - Dlaczego o to pytasz, Abby?

- Bo chcę wiedzieć. Tak mało o tobie wiem, Luc.

- Może tak jest lepiej - rzekł po zastanowieniu.

Tego popołudnia, gdy Luc pracował w swoim gabinecie, Abby zabrała się do gotowania. Rozłożyła na kuchennym blacie starą, sczytaną książkę kucharską i wszystkie produkty, które przywieźli z targu, chcąc zrobić coś na obiad.

- Ostre rzodkiewki z soloną wątróbką - czytała na głos. - Ślimaki z pokrzywami.

Więc taka była francuska kuchnia? Nie mają tu nic normalnego?

Przewróciła kartkę i na szczęście znalazła przepis, który wyglądał na dość prosty, a poza tym miała do niego większość składników. Ragout.

Wkrótce kuchnię wypełniły smakowite zapachy: oregano, tymianku i czerwonego wina. Abby mieszała łyżką w ciężkim żeliwnym garnku, przez okno wpadał blask popołudniowego słońca, a Sophie głośnym miauczeniem domagała się jedzenia.

- Przestań zebrać, to nieładnie - strofowała ją Abby, ale zaraz zmiękła i ze śmiechem rzuciła jej jakiś kąsek.

Było tak pięknie, prawie idealnie. Jedzenie, słońce, leniwa atmosfera późnego popołudnia, spokój, nawet ten kot. To wszystko tworzyło razem sielankowy obraz, przypominający jej dawne marzenia o domu i życiu rodzinnym.

A jednak wiedziała, że to pozór, bo mężczyzna znajdujący się w centrum tego obrazu nie kochał jej. Co więcej, chyba nawet nie chciał z nią być.

Dlatego otrząsnęła się z myśli o rodzinnym szczęściu i energiczniej zabrała się do gotowania.

I słusznie, bo niebawem do kuchni zajrzał Luc, przywabiony kuszącymi zapachami.

- Pachnie wyśmienicie. Co to będzie? - zapytał, wskazując na garnek, w którym Abby zawzięcie mieszała.

- Ragout. Uznałam, że raczej zrezygnuję ze ślimaków z pokrzywami.

Luc uśmiechnął się, a ona poczuła, że robi jej się ciepło na sercu.

- Szkoda, że nie kupiliśmy na targu trochę ślimaków. Wbrew pozorom świeże są bardzo dobre - zauważył przekornie.

- Wierzę ci na słowo - odparła ze śmiechem, nie przestając mieszać.

Nagle poczuła coś dziwnego w brzuchu, jakby drgnięcie, czy pluśnięcie, a po chwili drugie, mocniejsze.

Krzyknęła z wrażenia.

- Abby, co się stało? Wszystko w porządku? - przestraszył się Luc.

- Tak.

Przyłożyła rękę do brzucha.

- Ona... mnie kopnęła! Wyraźnie to poczułam - zawołała z radością. - O! Znowu.

- Czy ja... też mogę?

- Tak, tak.

Abby była rozgorączkowana i przejęta. Ujęła dłoń Luca i położyła ją sobie na brzuchu, po czym przez moment czekali w napięciu. Maleństwo spełniło ich oczekiwania, bo już po chwili kopnęło mocno, prosto w dłoń swego taty.

Zaśmiał się głośno, radośnie. To było coś zdumiewającego, ich dziecko już niedwuznacznie dawało o sobie znać.

Przez parę sekund trwali w milczeniu i była to chwila wielkiej intymności, dająca poczucie, że jeszcze wszystko jest możliwe, że przyszłość, życie i miłość należą do nich - i do dziecka, za którego sprawą stał się ten cud. To była chwila bliskości i współodczuwania. I zaraz minęła.

Zanim Abby zdążyła cokolwiek powiedzieć, Luc odsunął się od niej i wymawiając się pilnymi telefonami, które miał załatwić przed obiadem, szybko wrócił do swego gabinetu.

Tam ciężko oparł się o biurko, zamknął oczy i głęboko odetchnął. Czuł się wyczerpany jak po długim biegu.

Kręciło mu się w głowie od nagłego zalewu uczuć, jakich doświadczył, gdy poczuł leciutkie kopnięcia malutkiej istotki. To było tak, jakby spiętrzona woda nagle przerwała tamę - żywioł, którego nie da się kontrolować. Był szczęśliwy, pełen nadziei, żył i czuł, co po długich miesiącach, czy nawet latach wewnętrznej martwoty zdumiewało go i przerażało jednocześnie.

Doświadczenie uczyło go, że szczęście i radość nierozzerwalnie łączą się z bólem straty.

Na moment wrócił myślą do tamtego strasznego dnia na szosie. Znów zobaczył obraz rozbitego o drzewo samochodu, poczuł zapach dymu i śmierci. Przypomnił sobie własną bezsilność i rozpacz.

Nie mógł stracić Abby. Nie byli małżeństwem, nie byli już nawet kochankami. Przyjechała tu z nim tylko ze względu na dziecko i nie mógł o tym zapominać. Powinien zachować dystans i nie pozwolić ani jej, ani sobie na uczucie.

To było zbyt przerażające i niebezpieczne - dla nich obojga.

Pojawił się w kuchni dopiero wtedy, gdy Abby podawała obiad. Za oknem już się ściemniało.

Uśmiechnęła się na jego widok.

- Mam nadzieję, że jesteś głodny - powiedziała, nakładając ragout do ceramicznych miseczek. - Niechcący zrobiłam tyle, że starczyłoby dla oddziału wojska.

Luc nie odpowiedział. Usiadł przy stole i podał jej mały, gładki telefon komórkowy.

- Będę dosyć zajęty w najbliższym czasie - rzekł chłodno. - Wprowadziłem ci tam mój numer, więc w każdej chwili możesz się ze mną skontaktować.

No tak, odczytała to bezbłędnie jako znak, że Luc chce się od niej odsunąć jeszcze bardziej. Zresztą, czy ona jeszcze czegoś od niego oczekiwała? Czy przyjeżdżając z nim do Francji miała nadzieję na jeszcze jakąś trzecią szansę?

Czy łudziła się, czy była aż tak naiwna?

- Dziękuję - powiedziała, wkładając telefon do kieszeni.

Jedli prawie zupełnie w milczeniu, a zaraz po posiłku, Luc, wymawiając się pracą, znów zniknął w swoim gabinecie.

Abby zrobiła sobie filiżankę kawy i wyszła na taras.

O tej porze było już chłodno, wiatr szeleścił w drzewach oliwek, a atramentowo czarne niebo nakrapiane było gwiazdami. Westchnęła ciężko, wciągając w płuca suche, pyliste powietrze. W mroku majaczyły ciągnące się po horyzont wzgórza i łąki. W świetle księżycy widać było wieże Château Mirabeau.

Postanowiła, że nazajutrz wybierze się na spacer i spenetruje to miejsce, które nie przestawało jej intrygować. Niewiele więcej miała zresztą do roboty.



Z dotkliwym uczuciem żalu pomyślała, że przecież mogłoby być inaczej. Wyobraziła sobie, że wraca do domu, zagląda do Luca i wyciąga go na dwór. Mogliby razem siedzieć na tarasie i patrzeć w gwiazdy. A może od razu poszliby na górę i zrobili dobry użytek z jej szerokiego, sosnowego łóżka z miękkim materacem i puchową kołdrą?

Abby siłą otrząsnęła się z tych fantazji, które przecież nie miały szans, by się spełnić. Luc wystarczająco wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że nie chce angażować się emocjonalnie. Robił to konsekwentnie od roku, więc czego się jeszcze spodziewała? Dlaczego wciąż chciała więcej?

Dlatego, że ten stan rzeczy jej nie zadowalał. Miała jakieś miejsce w życiu Luca, nawet jeśli nie byli związani uczuciowo. Tymczasem jego przeszłość stanowiła dla Abby całkowitą tajemnicę, której starannie strzegł. W jego oczach widziała cierpienie i chciała znać przyczynę, chciała zrozumieć.

A poza tym, dopóki było jeszcze choćby ziarnko nadziei, wierzyła, że między nią a Lukiem coś zmieni się na lepsze.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zgodnie z zapowiedzią, Luc wyjechał z domu zaraz po śniadaniu. Miał odwiedzić swoje biura w okolicy, zapewnił jednak Abby, że gdyby go potrzebowała, zjawi się w ciągu kilku minut.

Jak pogotowie, pomyślała z goryczą.

Najpierw posprzątała ze stołu, a zaraz potem przebrała się w ciężowe dżinsy, bo zwykle już się na niej nie dopinały, włożyła koszulę z długimi rękawami, dobre buty do chodzenia i wyszła na zewnątrz.

Dzień był jasny i pogodny, świeciło słońce, a lekki wietrzyk rozwiewał jej włosy.

Idealny dzień na spacer.

Poszła szosą, wzdłuż której rozciągały się gaje oliwne i falujące łąki. Ptaki śpiewały, szumiały drzewa i Abby poczuła, że pozostawiła za sobą przytłaczającą atmosferę domu Luca i z każdym krokiem robi jej się lżej na duszy.

Po kwadransie marszu doszła do ozdobnej bramy Château Mirabeau i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że to jest cel jej wyprawy. Brama jednak zamknięta była na kłódkę, a z obu jej stron wznosił się co najmniej półtorametrowy, kamienny mur.

Do środka nie było wstępu.

Nie chciała tu za dużo węszyć, żeby nie wzbudzać podejrzeń. W zamku prawdopodobnie ktoś mieszkał: jakaś gwiazda filmowa czy magnat, który mógł w każdej chwili wezwać policję, widząc, że zakłóca jego spokój.

A jednak nie była w stanie powściągnąć swej ciekawości. Ta budowla kusila ją i wabiła z niezrozumiałą siłą. Za wszelką cenę chciała ją zobaczyć.

W poczuciu bezsilności szarpnęła bramę. Łańcuch z kłódką zakołysał się z głośnym grzechotem i ku zdumieniu Abby - spadł na ziemię. Dopiero wtedy zobaczyła, że był całkiem przerdzewiały.

Teraz skrzydła bramy otwarły się ze skrzypieniem zawiasów. Weszła do środka.

Do zamku prowadziła kręta alejka, po obu stronach zarośnięta gąszczem krzewów, drzew i chwastów. Abby posuwała się powoli, niemal na paluszkach. Czuła się trochę jak

złodziej i bała się, że ktoś ją tu złapie, chociaż stawało się coraz bardziej oczywiste, że miejsce jest niezamieszkałe. To był obraz skrajnego zaniedbania.

Po chwili alejka wyprowadziła ją na otwarty dziedziniec i przez moment Abby nie mogła ochłonąć z wrażenia. Przed sobą miała fronton prawdziwego, potężnego zamku. Na obu jego skrzydłach wznosiły się wieże, a między nimi ciągnęły się dwa rzędy zakrytych żaluzjami okien.

Ostrożnie podeszła do drzwi wejściowych i nacisnęła ciężką, mosiężną klamkę, lecz bezskutecznie.

Mogła się tego spodziewać. Kimkolwiek był właściciel zamku, z pewnością nie zostawiłby drzwi otwartych.

Na wszelki wypadek obeszła zamek dookoła, z nikłą nadzieją, że znajdzie może jakieś inne drzwi czy wybite okno.

Niestety, nic takiego nie było. Przez szpary w żaluzjach zdołała tylko dojrzeć salon pełen mebli w pokrowcach.

Natomiast wokół rozpościerała się wspaniała panorama klasycznych tarasowych ogrodów, z fontannami i resztkami rzymskich akweduktów. Ślady dawnej świetności.

Abby sama nie wiedziała, co właściwie spodziewała się tu znaleźć.

Zamek strzegł swej tajemnicy i nie pozostawało jej nic innego, jak dać za wygraną.

Rozczarowana, zmęczona i spocona, odnalazła alejkę, którą tu przyszła, i tą samą drogą wróciła do domu.

Przespała prawie całe popołudnie. Obudził ją dopiero dźwięk otwieranych na dole drzwi. Była już pora kolacji i wreszcie pojawił się Luc.

- Przepraszam, nic dzisiaj nie ugotowałam - powiedziała, wchodząc do salonu, gdzie przeglądał korespondencję. - Poszłam dziś na spacer do zamku - dodała po chwili i widziała, że Luc drgnął i gwałtownie zeszytniał.

- Ach, tak? - mruknął.

- Tak. Jest piękny, ale trochę zaniedbany. Dlaczego nikt tam nie mieszka?

- Sądziłem, że brama jest zamknięta.

- Czy ten zamek należy do twojej rodziny? - zapytała nieśmiało, słysząc w jego słowach ton posiadacza.

- Tak - skwitował sucho. - Ale ja zdecydowałem, że nie będę tam mieszkał. Ten dom zupełnie mi wystarcza.

- Tylko że tu też prawie nie mieszkasz.

- No cóż, Abby, jestem zajęty.

Luc wzruszył ramionami. Nie chciał wdawać się w dalszą rozmowę ani o zamku, ani też o swoich relacjach z Abby, które on uważał za zadowalające, lecz które dla niej pozostawiały tak wiele do życzenia.

Jak zwykle, pod pozorem pilnych zajęć, tak szybko jak mógł, wycofał się do swego gabinetu.

Następnego dnia Abby znów została sama. Usiłowała wypróbować kolejny przepis z książki kucharskiej i zrobić na obiad makaron z sosem, ale wkrótce okazało się, że brakuje jej podstawowego składnika, czyli makaronu, i dała spokój.

Tymczasem pogoda nadal była piękna, postanowiła więc znów wyrwać się z domu. Narzuciła tylko kurtkę, a wychodząc przystanęła przy drzwiach, gdzie na półeczce wśród innych kluczy dostrzegła jeden, który już wcześniej zwrócił jej uwagę. Był duży, ciężki i lekko zardzewiały. Widać było, że jest stary.

Abby przez chwilę obracała go w dłoniach, po czym wrzuciła go do kieszeni kurtki i wyszła.

Szybkim krokiem przemierzyła tę samą drogę, co wczoraj. Na szczęście brama nadal była otwarta, więc Abby zarośniętą alejką pospieszyła prosto do zamku.

Wkładając stary klucz do dziurki, czuła się prawie jak w bajce. Pasował doskonale, więc przekreśliła go, a zgrzyt klucza echem odbił się w pustych wnętrzach.

Pchnęła drzwi i znalazła się w głównym holu. Przez szczeliny w żaluzjach wpadały tu promienie słońca, drobiny kurzu tańczyły w słonecznym blasku.

Gdy tylko oczy jej przywykły do półmroku, zaczęła rozróżniać widmowe kształty mebli ukrytych w pokrowcach. Uniosła jeden z nich i ujrzała piękny antyczny stolik z polerowanego drewna, zdobiony perłową intarsją. Była to niewątpliwie cenna rzecz i Abby podejrzewała, że cały zamek jest w ten sposób umeblowany.

Wędrowała przez amfiladę pokoi, zaglądając od czasu do czasu pod pokrowce, dziwiąc się coraz bardziej, że tak wspaniała rezydencja jest zaniedbana i opustoszała.

Wiedziała, że powinna stąd wyjść. Nie miała żadnego prawa wchodzić tu i szpiegować. A jednak coś ją tu trzymało.

Tu kryła się tajemnica przeszłości Luca i skoro on nie chciał jej wyjawiać, Abby postanowiła odkryć ją sama.

Zdawało jej się, że pokoje pełne są duchów dawnych mieszkańców, te jednak milczały.

W końcu doszła do ostatniego z pokoiów reprezentacyjnych, którego oszklone drzwi prowadziły na taras. Tu także meble osłonięte były pokrowcami, lecz jeden z nich swym charakterystycznym kształtem natychmiast zwrócił uwagę Abby.

To był fortepian.

Podeszła do niego powoli. Jedną ręką ściągnęła z niego przykrycie i wstrzymała oddech z zachwytem. Fortepian był piękny.

Poznała, że to antyk, który pewnie był w posiadaniu rodziny Luca od ponad stu lat. Obudowa była bogato dekorowana złoceniami i sama w sobie stanowiła dzieło sztuki.

Abby jak we śnie podniosła pokrywę, chociaż wiedziała, że instrument na pewno jest rozstrojony, lecz mimo to...

Od roku nie grała na fortepianie, przez ten rok nawet nie dotknęła instrumentu. To był niewyobrażalnie długi czas dla kogoś, kto grywał codziennie po parę godzin.

Teraz przez chwilę trzymała palce nad klawiaturą, po czym wzięła głęboki oddech i uderzyła w klawisze. Czuła, że palce jej zeszywniały, a dźwięk jest fałszywy, ale zaśmiała się cicho.

W zetknięciu z instrumentem minęło jej dotychczasowe napięcie, z którego dotąd nawet nie zdawała sobie sprawy.

Powoli, nie zastanawiając się, co robi, zaczęła grać *Appassionatę*.

Luc zaparkował samochód przed Château Mirabeau. Brama była otwarta, a przedziewiała kłódka zwisała beużytecznie na łańcuchu.

Z głośnym biciem serca popatrzył w głąb zacienionej alejki. Omijał Château Mirabeau od ponad roku, a tym bardziej nie wchodził do środka.

Dziesięć minut temu otrzymał wiadomość od firmy ochroniarskiej, że system alarmowy odnotował czyjąś obecność w zamku. Szef ochrony poinformował go o tym, dodając, że nic nie wskazuje na włamanie.

Luc uspokoił go, że to nie włamanie i że sam się tym zajmie. On nie miał wątpliwości, kim był tajemniczy intruz; kto znalazł klucz od drzwi wejściowych i kto szperał i węszył w jego przeszłości. Przeszłości, o której chciał zapomnieć.

Zamknął samochód i ruszył do zamku. Zawahał się chwilę przed wejściem. Ostatnim razem przekroczył ten próg, gdy uciekał. Uciekał przed druzgocącą prawdą, którą odkrył w listach Suzanne:

*Jestem taka nieszczęśliwa...*

*Nigdy nie przypuszczałam, że tak będzie...*

*Chcę stąd uciec...*

No i uciekła. Bezpowrotnie.

Wstrzymując oddech, wszedł do holu. Wszystko pokrywał kurz.

Dom, który był przecież jego dumą i radością, teraz przedstawiał sobą rozpaczliwy obraz. Zabronił komukolwiek tu wchodzić, jakby chciał, żeby dom powoli sam popadł w ruinę. A jednak teraz, patrząc na opuszczone pokoje, poczuł ukłucie bólu.

I gdzieś w tym mauzoleum wspomnień była Abby. Zaglądał do wielu pomieszczeń, ale nigdzie jej nie znalazł.

W pewnej chwili usłyszał muzykę. Było to nie co innego, tylko najpiękniejszy na świecie utwór - Appassionata, grana na potwornie rozstrojonym fortepianie, a jednak wciąż rozpoznawalna.

Szedł w kierunku pokoju muzycznego jak w transie, aż zobaczył Abby.

Stała przy fortepianie, oświetlona słońcem sączącym się przez szpary w żaluzjach, a ciemne włosy spływały jej na plecy jak kaskada.

Nawet wśród tego kurzu i zaniedbania wyglądała pięknie. A co więcej - pasowała do zamku, Luc patrzył na nią z niekłamaną przyjemnością.

Nagle znikła gdzieś jego wewnętrzna martwota, po raz pierwszy od dawna znowu czuł. Czuł tęsknotę i lęk i to, co zatrważało go najbardziej: coś bardzo zbliżonego do miłości.

Zacisnął zęby i usiłując zignorować te uczucia, przekroczył próg.

- Co ty, na litość boską, robisz? - wyrzucił z siebie.

Abby zamarła. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Luc jest wściekły. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie.

- Grałam na fortepianie - odpowiedziała w końcu, po dłuższej chwili.

Odeszła od instrumentu, ale odkrycie, że znowu może grać, napełniło ją ulgą i radością.

Była zaskoczona, że Luc ją tu znalazł, i zdumieniem powitała wiadomość, że zamek jest monitorowany. Łatwo mogło się zdarzyć, że zamiast Luca wkroczyłaby tu policja.

- Skąd wiedziałeś, że to ja? - zapytała.

- Wypytywałeś mnie wczoraj o zamek i na tyle już cię znam, że mogłem się spodziewać, że nie dasz się zbyć. No i miałem rację, prawda?

- Byłam ciekawa - odpowiedziała cicho. - Tu mogłoby być tak pięknie. Dlaczego zamek jest zamknięty na klucz?

- Mówiłem ci już wczoraj. Nie chcę tu mieszkać.

Wyglądał na rozgniewanego, ale też przerażonego i bezradnego. Abby miała pokusę, żeby podejść i go przytulić.

- A kiedyś tu mieszkałeś?

- Tu się wychowałem.

Ten zamek zdawał się pełen duchów i wspomnień. Abby uświadomiła sobie, że oboje mają swoje własne duchy przeszłości, które ich dręczą i prześladują. I musieli sobie z nimi poradzić.

Spojrzała na fortepian i delikatnie musnęła palcami klawisze.

- Tęsknisz za graniem? - zapytał Luc.

- Tak, tęsknię za muzyką; za radością, którą mi dawała - wyznała szczerze. - A ty?

- Czy tęsknię za czym?

- Za tym zamkiem. Za nią. Czy dlatego odciąłeś się od wszystkiego, co przypomina ci przeszłość? Bo tak bardzo za tym tęsknisz?

Abby była przekonana, że tu tkwi klucz do tajemnicy Luca, lecz nie mogła się bardziej mylić.

- Nie, nie tęsknię - rzekł. - I chyba tego właśnie żałuję. To nie żałoba po żonie zrobiła ze mnie takiego człowieka, jakim jestem.

- A co, Luc? - zapytała cicho. - Co sprawiło, że taki jesteś?

Luc podszedł do drzwi na taras i otworzył je jednym energicznym ruchem. Do wnętrza wlało się ciepłe, popołudniowe światło. Na zewnątrz rozciągał się wspaniały, szeroki widok na ogrody i dalej na rzekę.

- Kocham to miejsce - powiedział Luc cicho. - Zawsze je kochałem i chyba mam to we krwi.

To był wstęp do dalszej opowieści, która miała Abby wyjaśnić, kim Luc jest i co przeżył. Słuchała tej historii z zapartym tchem.

Opowiedział jej, że zamek był ich rodzinną siedzibą już od czterystu lat. Jego ojciec zmarł, kiedy Luc miał jedenaście lat, i od tego czasu majątek rodziny podupadał, bo matka nie dawała sobie rady z zarządzaniem tak wielkimi dobrami, a skorumpowany zarządca działał tylko na ich szkodę. On sam, jako mały chłopiec, mógł tylko, w poczuciu własnej bezsilności, obserwować proces powolnego upadku.

Dopiero kiedy miał dziewiętnaście lat, przejął pełny zarząd nad rodzinnymi dobrami i postawił sobie za cel i punkt honoru, by odzyskać wszystko, co do tej pory stracili, i przywrócić posiadłość do stanu dawnej świetności. Powoli stawało się to jego obsesją. Pracował z powodzeniem, lecz wciąż chciał zyskać więcej i więcej, a lata mijały.

Abby słuchała w milczeniu, a on mówił ponuro, z poczuciem winy, jakby to była spowiedź.

Suzanne dobrze pasowała do jego planu na życie. Pochodziła z miejscowej rodziny, była wykształcona i dobrze wychowana, ze wszech miar odpowiednia na żonę. Znali się od dzieciństwa.

Opowiadał dalej o małżeństwie, które okazało się wielkim nieporozumieniem i żadnemu z nich nie dało szczęścia. Wkrótce po ślubie Suzanne poroniła i popadła w de-



presję, on jednak nie potrafił dać jej pocieszenia ani oparcia. Oddalali się od siebie coraz bardziej i nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo czuła się nieszczęśliwa i samotna.

Teraz nie przestawał się za to winić.

Kiedy ożenił się z Suzanne, miała zaledwie dwadzieścia lat, był za nią odpowiedzialny. Ale jej nie kochał.

- Czasem się zastanawiam... - ciągnął z bólem - czy nie dlatego spowodowała ten wypadek. Nie wiem, dokąd jechała. Ona prawie nigdzie nie jeździła. Tam był prosty odcinek, a mimo to wypadła z drogi i zjechała do rzeki.

- Myślisz, że zrobiła to specjalnie - podsunęła Abby, a on skinął głową.

Śmierć Suzanne uznano za nieszczęśliwy wypadek, on jednak nosił w sobie nieustający wyrzut sumienia, który rzucał mroczny cień na całe jego życie.

- Dlaczego mnie nie nienawidzisz? - zapytał cicho.

Zaskoczył ją. Dlaczego miałyby go nienawidzić?

- Po tym wszystkim, co ci teraz powiedziałem i po tym, co zrobiłem. Odszedłem od ciebie, Abby, bo się bałem. Niczego więcej nie pragnąłem tamtej nocy, jak zostać z tobą i z tobą i obudzić się przy tobie.

- Więc dlaczego...?

- Tamtego dnia... - Widać było, że to wspomnienie jest dla niego bolesne - ...po południu przeglądałem tu różne papiery. Znalazłem notatki Suzanne, coś w rodzaju jej dziennika, w którym pisała, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Brzmiało to mniej więcej tak: „...zrozumiałam, że Luc nigdy nie pokocha mnie tak, jak chciałabym być kochana...” i jeszcze dalej i dalej, o tym, że nienawidzi swojego życia i że chce uciec stąd na zawsze. A to było na dwa tygodnie przed jej śmiercią. To był szok - ciągnął dalej. - Wyszedłem z zamku, wsiadłem do samochodu i pojechałem prosto do Paryża. Nie miałem pojęcia, że ona tak się czuła. Nie zdawałem sobie sprawy, że to przeze mnie. Sądziłem, że to z powodu poronienia. I nigdy sobie tego nie wybaczyłem.

- Ale to nie była twoja wina, Luc - próbowała go pocieszyć Abby, jednak on jakby tego nie słyszał.

- Jeszcze tego samego dnia kazałem zamknąć zamek. Nie chciałem i nie mogłem tu mieszkać ze świadomością, że przez swoją chorą ambicję unieszczęśliwiłem Boga ducha

winną dziewczynę, moją żonę. Od tego czasu tu nie byłem... aż do dzisiaj. Tamtego wieczoru poszedłem na twój koncert, bo chciałem zapomnieć, inaczej bym oszalał. Kiedy tylko cię zobaczyłem... poczułem nadzieję, ożyłem. A gdy byliśmy razem, samo patrzenie na ciebie, rozmowa... to było niezwykle.

Przerwał na chwilę, a Abby poczuła, że ogarnia ją wzruszenie.

- Ale nie mogłem z tobą zostać ani obarczać cię moimi problemami i bólem. Dlatego odszedłem. Wydawało mi się, że z dwojga złego tak będzie lepiej. Przepraszam, że jednak zrobiłem ci krzywdę.

Kiwnęła głową na znak, że przyjmuje jego przeprosiny. Po wszystkim, co powiedział, trudno jej było ochłonać.

- No a teraz? - wykrztusiła z trudem.

- Nie wiem - powiedział w końcu. - Myślałem, że już nigdy się nie ożenię. Zdawało mi się, że nie potrafię kochać. Tak bardzo zawiodłem Suzanne, że nie chciałbym, żeby się to kiedykolwiek powtórzyło..

- No i co, chcesz odciąć się od wszystkiego i wszystkich na resztę życia? Nie dasz sobie drugiej szansy?

- Wydawało mi się, że to już niemożliwe - przyznał. - Byłem zupełnie odrętwiały i nic nie czułem, dopóki nie spotkałem ciebie. Wtedy jednak zacząłem czuć zbyt wiele i teraz niczego już nie jestem pewien.

- A ja tak - powiedziała Abby i nagle wszystko okazało się proste i łatwe.

Wystarczyło, że popatrzyli sobie w oczy, a ona łagodnie przyciągnęła go do siebie. Wciąż się wahał, lecz pocałunkiem przełamała jego opór. I było w tym pocałunku wszystko, czego nie potrafili wypowiedzieć słowami: ukojenie, radość i nadzieja.

Oparci o klawiaturę fortepianu wywołali z niebytu całą kaskadę dźwięków, swoją własną, jedyną melodię.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Od tego dnia coś się między nimi zmieniło, a atmosfera w domu stała się znacznie swobodniejsza. Wiosna powoli przechodziła w lato, było ciepło i pięknie.

Nie rozmawiali o przyszłości i Abby przestała się tym przejmować. Wiele czasu spędzali teraz wspólnie: jedli, rozmawiali, śmiali się. Może tak właśnie wyglądała miłość?

Zamek jednak nadal pozostawał zamknięty i tylko na bramie pojawiła się nowa kłódka.

Abby z zapalem kontynuowała naukę gotowania. Razem z Lukiem odwiedzała okoliczne targi, gdzie kupowali całe pęczki świeżej bazylii, grube warkocze czosnku, szklane butle oliwy z oliwek i octu winnego. Zachwycała ją zmysłowa natura warzyw i owoców: szorstka skórka brzoskwini czy zapach świeżego ziemniaka.

Nie wszystkie jej kuchenne eksperymenty były udane, ale Luc wszystkiego próbował i kibicował jej w tych poczynaniach.

Mimo że ich wzajemne stosunki znacznie się poprawiły, Luc nadal zachowywał pewien dystans. Abby pragnęła bliskości, czułości, pieszczot, lecz nawet teraz bała się odrzucenia. Ich związek emocjonalny był bardzo delikatny, więc nie chciała nic zepsuć.

Któregoś popołudnia Luc zabrał ją na spacer po rozciągających się za domem wzgórzach. W pewnym momencie wyciągnął z torby jakieś patyczki i kawałek materiału. Dopiero po chwili poznała, że to latawiec.

- Jest świetny dzień na puszczenie latawca - powiedział z uśmiechem.

Już dawno tak się do niej nie uśmiechał. Rysy mu złagodniały, oczy rozbliły.

- Latawiec - powiedziała Abby powoli i natychmiast przypomniała sobie tamten wieczór w Paryżu, kiedy siedzieli razem w barze hotelu Le Bristol, a on pytał ją o marzenia.

Teraz sprawnie złożył jasnozielony latawiec. Wzruszyło ją, że pamiętał, co mu wtedy powiedziała, i że chciał jej zrobić przyjemność.

Biegali po wzgórzach i cieszyli się jak dzieci, a latawiec wznosił się, pikował w powietrzu i migotał zielono jak przepiękny motyl. Abby mogła teraz czuć się jak tamte

dzieci z Hampstead Heath; nie była dziewczynką, która stoi z boku. Rozwijała sznurek ze szpulki, a latawiec wznosił się coraz wyżej i wyżej. To było trochę tak, jakby sama fruwała - czuła w sobie radość, lekkość i wyzwolenie.

W pewnym momencie latawiec zanurkował, Abby nie zdążyła popuścić linki i zielony motyl uderzył o ziemię. Ze smutkiem patrzyła na połamaną konstrukcję i podarty materiał, już się do niczego nie nadawał.

- Nie martw się, i tak było warto, prawda? - Luc próbował ją pocieszyć.

Czy było warto? Pewnie tak. Lecz czy jej szczęście miało być równie ulotne i nietrwałe, jak ten latawiec? Woląła nie zagłębiać się w takie refleksje.

Robiło się późno i była już pora wracać.

Kiedyś po śniadaniu, w miesiąc od pamiętnego dnia, gdy spotkali się w zamku, Luc zapowiedział, że wkrótce jadą do Paryża. Zamówił dla Abby kolejne badanie USG u dobrego specjalisty, a poza tym był zdania, że weekend w Paryżu dobrze zrobi im obojgu.

- No i chyba przydałyby ci się nowe ubrania ciążowe. Kobiety w ciąży też mogą ubierać się modnie - zauważył.

Od dawna nie myślała o strojach, a sprawa mody ciążowej wydawała jej się pewną ekstrawagancją, lecz mimo wszystko perspektywa zakupów była pociągająca. Poza tym mieli jechać do Paryża - tam, gdzie wszystko się zaczęło. A może tym razem będzie inaczej?

Polecieli prywatnym samolotem Luca i wylądowali w Paryżu w bezchmurne, letnie popołudnie.

Pierwszym punktem programu była wizyta lekarska Abby. Z wielkim przejęciem oglądali na ekranie swoje dziecko, już duże i ruchliwe. Okazało się także, co lekarz oznajmił im z uśmiechem, że zagrożenie, wynikające z przodującego łożyska pacjentki, minęło. Dodał, że można już bezpiecznie podjąć normalne funkcje, co niewątpliwie oznaczało seks.

To zelektryzowało Abby. Czyżby ich związek miał się teraz zmienić?

Jaki związek? - kpiąco przedrzeźniał ją głos wewnętrzny. Przecież była z Lukiem we Francji tylko ze względu na dziecko. Luc się nie deklarował, a ona bała się pytać. Woląca pozostawić sprawy własnemu biegowi.

Oboje byli jednak zadowoleni z pozytywnej diagnozy.

Po wyjściu z gabinetu zjedli lunch w eleganckim, drogim bistro, po czym powędrowali na Pola Elizejskie, na obiecane zakupy.

Butik dla przyszłych mam przewyższył wszelkie oczekiwania Abby. Nie przypuszczała, że takie miejsca w ogóle istnieją. Już od wejścia otoczono ją troskliwą opieką, posadzono na miękkiej, pluszowej sofie, a przed nią paradowały modelki prezentujące najnowsze kreacje macierzyńskie. Podziwiała piękne kopertowe spódnice, luźne tuniki, wygodne spodnie i zawiązywane bluzki, wszystko w najlepszym stylu i gatunku.

Kilka ubrań przymierzyła i sprawiło jej to wielką, nieukrywaną przyjemność. Poczowała się nagle zadbana i atrakcyjna, co nieoczekiwanie dodało jej pewności siebie. Z przyjemnością patrzyła na swoje odbicie w lustrze, a Luc także przyglądał jej się z aprobatą. W końcu, mimo że Abby próbowała się wzbraniać, kupił jej wszystkie stroje, które przymierzała, a zebrał się ich spory stos.

Następną niespodzianką, przygotowaną dla niej przez Luca, był dłuższy seans pielęgnacyjno-relaksujący w salonie piękności, który mieścił się piętro wyżej. Po kilku godzinach wyszła stamtąd jak odrodzona, wysmarowana balsamami i olejkami, wy-masowana i odświeżona, rozluźniona i lekka.

Luc czekał na nią na dole i luksusowym, wynajętym autem pojechali do hotelu George V, gdzie jak się okazało mieli zamówiony apartament prezydencki.

Widząc wykwintny salon, pełen połączonych sprzętów, antyków, obrazów i innych cennych bibelotów, Abby z ukłuciem bólu, przypomniała sobie podobne miejsce, w innym hotelu, najwyżej o kilometr czy dwa stąd. Była wtedy taka młoda, naiwna i ufna.

A teraz? Czowała się starsza, mądrzejsza, bardziej pewna siebie. A jednak i teraz się bała, bo nie wiedziała, co jeszcze może się zdarzyć.

Patrząc na Luca, który uśmiechnięty stał w drzwiach, poczuła przypływ nadziei, że tym razem będzie inaczej. Może ta noc naprawi krzywdę tamtej nocy i stanie się szczęśliwym zakończeniem bajki. Tak myślała, choć nie zupełnie mogła w to uwierzyć.

A on tymczasem podszedł, pochylił się nad nią i musnął ustami jej usta. Najpierw lekko, niepewnie, później coraz namiętniej. I Abby z całą żarliwością odwzajemniła pocałunek.

- Nie chcę, żeby to się skończyło - szepnął Luc w pewnej chwili.

- Nie musi - odpowiedziała i zrobiło jej się dużo lżej na sercu.

A więc bajka trwała nadal.

Po kilkugodzinnej, krzepiącej drzemce Abby była znów gotowa do wyjścia. Tym razem miała na sobie nową, jedwabną, szarosrebrną suknię, która opadała miękkimi fałdami i podkreślała jej kobiecą sylwetkę. Na ramiona zarzuciła cieniutki szal, włosy miała rozpuszczone. Mogła z pełną aprobatą spojrzeć w lustro i cieszyć się swym nowym wcieleniem eleganckiej damy, choć wciąż zdawało jej się to nie do końca realne.

Luc był równie elegancki, w doskonale dopasowanym garniturze z cienkiej wełny i śnieżnobiałej koszuli. Wyglądał oszałamiająco.

Patrzyli na siebie nawzajem z podziwem, nie szczędząc jedno drugiemu komplementów.

Kolację jedli w hotelowej restauracji Le Cinq i było to menu godne koronowanych głów. Kawior z łososia, czarne trufle, delikatna pieczeń z jagnięcia i jędrne, młode szparagi. Abby jednak, mimo iż była głodna, ledwie dostrzegała, co ma na talerzu. Liczyło się tylko to, że był przy niej Luc, że patrzył na nią płonącym wzrokiem, że się uśmiechał. Nagle działo się to, o czym prawie nie śmiała już marzyć.

Po deserze jednocześnie wstali od stołu i niemal w milczeniu wracali do swego apartamentu. Tak samo jak rok temu, kiedy jedna noc po raz pierwszy zmieniła jej życie. Teraz czuła, że znów coś się zmieni i czekała na to z niecierpliwością, pragnęła tej zmiany, bardziej niż czegokolwiek przedtem.

Zapytał ją tylko, jak się czuje. Przyznała, że bołą ją nogi; chodzenie, szczególnie na wysokich obcasach, jak dzisiaj, męczyło ją coraz bardziej.

Kiedy byli już u siebie, Luc troskliwie rozmasował jej stopy, a ona poddawała się tym zabiegom z całą ufnością i przyjemnością. Było to kojące i rozluźniające, lecz jednocześnie jego bliskość napełniała Abby żarem długo tłumionego pragnienia.

Najwyraźniej Luc czuł tak samo, bo niebawem masaż zamienił się w pieszczotę.

Na chwilę się zatrzymał i z niepewnością w oczach wyszeptał:

- Abby... - Co było jednocześnie pytaniem i prośbą.

- Tak?

- Nie chcę zrobić ci krzywdy - powiedział.

Nie była pewna, czy chodzi mu o dziecko, czy nie chce zranić jej uczuć, jak w przeszłości. Cokolwiek by miał na myśli, mogła go tylko uspokoić.

- Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

Wtedy, przez zalany księżycowym blaskiem salon, zaprowadził ją do sypialni, gdzie czekało już na nich wielkie, gościnnie pościelone łóżko i ciepłe światło nocnej lampki. W parę sekund zrzucili z siebie ubrania i przyłgnęli do siebie w gorącym uścisku. Z trudem mogli uwierzyć, że to dzieje się naprawdę, i oboje zapragnęli, żeby ta chwila trwała już zawsze.

Luc jeszcze nie spał i słuchał cichego, miarowego oddechu Abby. Jedną rękę trzymał na jej brzuchu i po raz któryś z kolei doznawał wzruszenia, czując lekkie kopnięcia swojego dziecka.

Był szczęśliwy i bał się, że czar w każdej chwili może prysnąć. Nie przypuszczał, że kiedykolwiek doświadczy równie głębokiej, wypełniającej go miłości. Nie wyobrażał już sobie życia bez niej, bez Abby.

A może to szczęście było tylko złudzeniem, które minie z odejściem nocy?

Abby poruszyła się we śnie, była taka ciepła, łagodna, swoja.

Więc może jednak nam się uda? - pomyślał. Nie mógł wciąż dręczyć się obawami, chciał uwierzyć, że los okaże się dla nich łaskawy. I tak sam nie był w stanie wszystkiego zaplanować i przewidzieć.

Może ten moment będzie trwał zawsze, każdego ranka będą się razem budzić, żeby razem przeżyć kolejny dzień? Może już będzie dobrze i nic nie zakłóci szczęścia, które z takim trudem znaleźli?

Złe myśli odeszły i on także powoli zaczął zapadać w sen.

Abby obudziło stukanie do drzwi apartamentu. To musiała być pokojówka. Zerknęła na zegarek przy łóżku, zbliżało się południe. Przykryła się lepiej kołdrą i z niepokojem popatrzyła na pustą połowę łóżka. Gdzie był Luc?

- *Bonjour?* - zawołała pokojówka z salonu.

Abby przymknęła oczy. Miała wrażenie, jakby po raz drugi oglądała ten sam film, przedstawiający jeden z najgorszych momentów jej życia.

- *Bonjour.* - Usłyszała drugi głos i krótką wymianę zdań, po której pokojówka pożegnała się i wyszła.

Do sypialni wszedł Luc, z włosami jeszcze wilgotnymi od prysznic. Kiedy stał w drzwiach, wypoczęty, pogodny i z uśmiechem na twarzy, w jednej chwili opuściły ją wszystkie złe wspomnienia i lęki. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, a jej serce zalała fala ciepła. Wiedziała, że zaczyna się dla nich prawdziwe życie.

TLR



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

„Prawdziwe życie” trwało dwa miesiące. Był to piękny, letni czas, kiedy rzadko ruszali się z domu, a większość czasu spędzali razem. Czytali, odpoczywali, gotowali i kochali się. I nigdy nie rozmawiali o przyszłości.

Abby trochę to niepokoiło, lecz przekonywała się, że mają jeszcze dużo czasu. Nie chciała naciskać na Luca, chociaż czasem z trudem się powstrzymywała, żeby nie wykrzyknąć: „Dlaczego mi nie powiesz, że mnie kochasz? Dlaczego nic nie mówisz o przyszłości?”

Milczała, bo obawiała się, że prawda mogłaby okazać się zbyt bolesna. A może powinna zapytać go wprost, jakie ma plany? Albo wręcz powiedzieć mu, czego sama chce i oczekuje. Wiedziała już, że po urodzeniu dziecka chce zostać we Francji, mieszkać z nim w jego wiejskim domu i żeby wszystko zostało tak jak teraz.

Lecz mimo, że tego pragnęła, wiedziała, że wszystko może się jeszcze zmienić. Nie wiedziała, co w Lucu drzemie i w rzeczywistości wcale go nie znała.

- Jadę do Paryża - oświadczył któregoś dnia przy śniadaniu.

Znieruchomiała. Zdawało jej się, że dosłyszała w jego głosie ostrzejszy ton.

- Masz tam jakieś interesy? - zapytała w końcu, bo on zachowywał się, jakby wy-czerpał już temat.

- Tak - rzekł bez uśmiechu. - Nie będzie mnie tylko przez jeden dzień. Masz mój numer telefonu.

- Tak.

Abby całkowicie straciła apetyt. Nie proponował jej, żeby z nim pojechała, a ona nie chciała prosić. A zresztą, była w ósmym miesiącu ciąży, czuła się ciężka, obolała i zmęczona. Powiedziała sobie, że to już nie pora na dalekie podróże. Przez jeden dzień spokojnie mogła pobyć sama; postanowiła, że prześpi się, ugotuje coś pysznego na obiad i wcale nie będzie się martwić.

Oczywiście stało się inaczej.

Mogła robić różne rzeczy: czytać, gotować, sprzątać, gdyby miała na to ochotę. Mogła też napisać list do matki, która zamierzała ich odwiedzić.

Tymczasem postanowiła wybrać się na spacer. Pogoda była piękna, spacerowa, lecz Abby doskonale wiedziała, jaki był prawdziwy cel jej wyjścia z domu.

Château Mirabeau.

Zatrzymała się przed bramą, zamkniętą teraz na nową, stalową kłódkę. Do środka nie było wstępu.

Właściwie wiedziała o tym już przedtem. Jadąc z Lukiem samochodem, wielokrotnie mijali zamek i nawet z drogi widać było, że brama jest zamknięta. Nie zapytała dlaczego, bała się.

Dopiero teraz, patrząc na posiadłość przez pręty, poczuła się jak jakaś biedna sierotka z bajki i zrozumiała, że w jej związku z Lukiem brakuje czegoś bardzo, ale to bardzo istotnego. Otwartości? Zaufania?

Pomyślała, że coś, co zdawało jej się szczęściem, jest złudne i płytkie.

Powoli, z rozczarowaniem odwróciła się od bramy i zamierzała wracać, kiedy usłyszała dźwięk nadjeżdżającego samochodu, który za chwilę, z piskiem opon, zahamował tuż przy niej.

Przez sekundę miała nadzieję, że to Luc zmienił zdanie i zdecydował się nie jechać bez niej. Nadzieja jednak zaraz prysła, bo z samochodu wysiadła elegancka pani po pięćdziesiątce i zbliżała się do niej z dziwnym wyrazem twarzy.

Abby zdrętwiała. Może Luc zdążył sprzedać zamek, a to była nowa właścicielka, która ją zaraz przepędzi. Instynktownie objęła dłońmi swój okazały brzuch, jakby chciała chronić dziecko.

- Pani tu mieszka? - zapytała kobieta.

- Nie. Tak tylko patrzyłam - odpowiedziała Abby po francusku.

- A już miałam nadzieję... - zaczęła kobieta, lecz nagle posmutniała i jakby zapadła się w sobie. - Pani zna hrabiego de Gévaudan? - zapytała, obrzucając wzrokiem widoczną ciążę Abby.

- Tak.

- Ale nie pobraliście się - ciągnęła nieznajoma, mówiąc jakby do siebie. - Przecież bym o tym wiedziała, pisałiby w gazetach.

Abby była trochę dotknięta jej zaborczym tonem, lecz zrozumiała, że kobieta nie mówi tego ze złości. Coś musiało się w tym kryć.

- Pani go zna? - zapytała.

- O, tak. Znam go. A raczej znałam - odparła tamta gorzko. - Nie widzieliśmy się już prawie dwa lata. Od pogrzebu mojej córki.

Abby już wiedziała, kto przed nią stoi.

- Pani jest matką Suzanne - powiedziała cicho.

- Mireille Roget - przedstawiła się kobieta. - On opowiadał pani o Suzanne?

- Tak, oczywiście. - Abby nie wiedziała, jak wyrazić to, co czuł Luc. I czy powinna? - On wciąż nie pogodził się ze śmiercią Suzanne - powiedziała w końcu.

- Wiem o tym - odparła Mireille. - Wszyscy wiedzą! Dość już się z tego powodu biczował. Zamknął zamek na cztery spusty, wyjechał stąd... Kiedy panią tu zobaczyłam, pomyślałam, że może obudził się do życia i znów tu mieszka.

- Tak pani myślała?

Abby nie kryła zdziwienia.

Kobieta kiwnęła głową. Strata córki była dla niej ogromną tragedią, ale świadomość, że Luc także marnuje sobie życie, tylko pogłębiała jej smutek.

- Wiem, że Luc obwiniał się o to, że Suzanne była nieszczęśliwa, a może nawet o jej śmierć, ale to nie była jego wina.

- On tego nie rozumie - powiedziała cicho Abby. - Cały czas czuje się winny.

Rozmowa przedłużała się i stawała coraz bardziej osobista, więc matka Suzanne uznała, że lepiej będzie porozmawiać przy kawie, a właśnie jechała do Pont-Saint-Esprit. Zaprosiła więc Abby, żeby jej towarzyszyła.

W kawiarni, przy dużej café latte, Abby poznała drugą stronę tragicznej historii.

Mireille opowiedziała jej o tym, jak Suzanne uwielbiała Luca, traktując go trochę jak starszego brata, którego nigdy nie miała. On ją lubił, był dla niej dobry, ale nic więcej. Dla Suzanne to było za mało.

- Zawsze była depresyjnym dzieckiem - ciągnęła dalej matka - i po ślubie to się jeszcze pogłębiło. W końcu postanowiła rozwieść się. Nigdy mu tego nie mówiłam, bo jeszcze bardziej by się obwiniał, ale to małżeństwo nie miało szans. Tego dnia, kiedy

zginęła, jechała mnie odwiedzić. Zadzwoniła i powiedziała, że postanowiła zacząć życie od nowa. Zapisła się w Paryżu na kurs pedagogiczny. Zawsze chciała być nauczycielką, ale jako pani zamku Mirabeau nie bardzo mogła. Zresztą kto wie, co tu jest prawdą? - Mireille wzruszyła ramionami. - Suzanne bała mu się cokolwiek powiedzieć. Ukrywała przed nim nawet to, że cierpi na depresję i jest nieszczęśliwa. Biedak dowiedział się dopiero po jej śmierci.

Abby chłoneła tę historię jak gąbka, lecz zajęło jej chwilę, aby sobie to wszystko uzmysłwić. Relacja matki Suzanne rzucała na sprawę całkiem inne światło.

- Luc zastanawiał się... - zaczęła niepewnie - czy Suzanne nie zamierzała...

- Że tam na szosie zamierzała popełnić samobójstwo? - domyśliła się Mireille i potrząsnęła głową. - Nie, nie zrobiłaby tego. Przecież właśnie zaczynała porządkować sobie życie.

- To dobrze - szepnęła Abby. - I ze względu na nią... i na Luca.

- No cóż, nic dziwnego, że on się tym dreczy - stwierdziła Mireille. - Raport policyjny stwierdzał, że prawdopodobnie jakieś zwierzę wybiegło na drogę, a ona gwałtownie skręciła, żeby go nie przejechać.

Ta rozmowa była dla Abby bardzo cenna, wyjaśniła jej wiele z przeszłości Luca i dodała wiary w przyszłość. Starsza pani życzyła jej i Lucowi szczęścia i obiecała, że będzie się za nich modlić.

Nadmiar wrażeń czy zmęczenie sprawiły, że w drodze powrotnej Abby przysnęła i ocknęła się dopiero, gdy dojechały na miejsce.

- Abigail... już jesteśmy.

Mireille lekko dotknęła jej ramienia.

Abby czuła się nieswojo, coraz bardziej kręciło jej się w głowie. Spróbowała podnieść się i wysiąść z samochodu, lecz miała mgłę przed oczami i zdawało jej się, że świat gdzieś odpływa.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoiła się matka Suzanne.

W tym momencie Abby spojrzała w dół i zobaczyła na swoich spodniach powiększającą się plamę krwi. Zdawało jej się, że krew jest wszędzie: na siedzeniu samochodu, na podłodze. Skąd wzięło się tyle krwi?

Mgła przed oczami jeszcze się zageściła i Abby osunęła się, nieprzytomna.

Luc siedział w sali konferencyjnej w Paryżu, za stołem zasłanym papierami. Dyskutowano właśnie sprawę sprzedaży Château Mirabeau, gdy rozległ się przenikliwy dźwięk jego telefonu.

Przeprosił i odebrał.

- Luc Toussaint. Słucham?

Zdrętwiał, słysząc głos Mireille. Nie rozmawiał z nią już od miesiący, a teraz w jej głosie usłyszał smutek i lęk.

Powiedziała tylko dwa słowa:

- Był wypadek. - I natychmiast odżyło w nim wspomnienie koszmaru.

- Abby - wydusił, z trudem zbierając myśli. - Dlaczego... jakim cudem dzwonisz w sprawie Abby?

- Spotkałyśmy się dziś rano. Rozmawiałyśmy.

- Nie! - Luc zamknął oczy i stłumił w sobie łkanie. Nie chciał dopuścić do siebie strasznej prawdy, która miała znów rozbić jego świat w kawałki. - Nie!

- Nie, nie. Luc, to nie to. Ona żyje. Chodzi o dziecko... zabrali ją do szpitala.

W ułamku sekundy odzyskał przytomność umysłu i zakończył rozmowy, obiecując, że za dwie godziny będzie w szpitalu.

- *Pardonnez moi* - rzucił w kierunku zebranych przy stole kontrahentów i nie zastanawiając się dłużej, wybiegł z sali.

Wszystkie sprawy związane z interesami w jednej chwili straciły dla niego znaczenie, teraz liczyła się tylko Abby. Kobieta, którą kochał i której nie mógł stracić.

Budziła się powoli i nie od razu zdała sobie sprawę, gdzie jest. Instynktownie dotknęła brzucha i krzyknęła z przerażenia. Tam, gdzie dotąd ukryte było jej ruchliwe i kopiące dziecko - teraz nie było nic. Tylko miękkie, wiotkie ciało pustego łona.

- Moje dziecko... - zachrypiała z rozpaczą, ale w tym momencie dostrzegła Luca. Łagodnie ścisnął jej dłoń, dodając otuchy.

- Wszystko w porządku, Abby. Malutka jest cała i zdrowa.

Wyjaśnił jej, co się stało. Lekarze stwierdzili, że odkleiło się łożysko, co stwarzało poważne niebezpieczeństwo. Dlatego w trybie nagłym zrobiono jej cesarskie cięcie. Całe szczęście, że Mireille miała dość przytomności umysłu i na czas zawiozła ją do szpitala. Dziecko urodziło się małe, ale zdrowe.

- Więc wróciłeś - powiedziała Abby słabo.

- Mireille do mnie zadzwoniła. Nie powinienem był wyjeżdżać i zostawiać cię samej. Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało. Ani dziecku.

Abby nareszcie poczuła, że ogarnia ją ulga. Pełna wzruszenia i tkliwości, nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy swoje maleństwo, którym na razie zajmowali się lekarze i położne. Przepęłniał ją bezmiar uczuć, którymi chciała podzielić się z Lukiem. Oczekiwała, że tym razem powie jej coś, na co czekała od dawna. On jednak milczał.

- Luc... - zaczęła.

Gestem nakazał jej, by nic nie mówiła.

- Ciii, powinnaś teraz odpocząć - powiedział. - Niedługo przyniosą ci dziecko.

Czuła się słaba, ale mimo to widziała, że jest roztargniony i myślami błądzi gdzieś daleko. Odwróciła się, żeby nie widział, że ona ma łzy w oczach.

Nie widział, bo wyszedł.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Luc zatrzymał samochód przed bramą zamku. Posiadłość i sylwetka zamku skapanie były w księżycowym świetle.

Przyjechał tu prosto ze szpitala i jeszcze miał w oczach obraz Abby tulącej w ramionach malutką. Zdecydowali, że będzie się nazywać Emilie Charlotte. Wszystko w niej zdawało mu się doskonale: buzia jak pączek róży, delikatne usteczka i paluszki. Serce bolało go na myśl, jak wiele dostał od losu i jak wiele mógłby stracić.

Otworzył bramę i szybko przemierzył drogę do zamku. Po cichu wszedł do środka; w holu przystanął i chłonał znajome zapachy; kurzu i ponad rocznego zaniedbania, ale też nikłą woń pasty do podłogi, domu.

Bo tu był jego dom.

Odetchnął głęboko i zaczął chodzić po pokojach. Kiedy był tu ostatnim razem, szukając Abby, tak był tym zaabsorbowany, że prawie nie zwracał uwagi na otoczenie. Teraz jednak zabolął go widok ukochanych wnętrz, straszących meblami w pokrowcach, stojącymi wszędzie niczym widma. Kiedy dostrzegł odpadające i łuszczące się sztukaterie, przysłała mu do głowy dziwna myśl, że zawiódł swój dom.

Był zmęczony poczuciem winy i lękiem. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak przerażony, jak wtedy, gdy Mireille zadzwoniła do niego z wiadomością, że Abby jest w szpitalu i że życie jej i dziecka było zagrożone. Do tej pory dreszcz go przechodził na to wspomnienie.

Przedtem bał się ryzyka, jakie niosła ze sobą miłość, dlatego nie potrafił kochać Abby, ani planować wspólnej przyszłości. I dopiero w tamtym krytycznym momencie pojął, że stokroć gorzej byłoby ją stracić.

Teraz miał przed sobą wybór: czy powrócić do stanu poprzedniej uczuciowej martwoty, czy też podjąć ryzyko życia i kochania.

Mógł pozostawić zamek martwy i zamknięty, jak dotąd, albo sprzedać go, odcinając się od przeszłości i udając w ten sposób, że nigdy nie istniała. Albo...?

Musiał wybrać.

Słyszał skrzypnięcia i szelesty, jakby jego dom wzdychał. Luc dotknął najbliższego pokrowca, pociągnął go i odsłonił ukryty pod nim mebel. Potem następny i następny. Dom zaczynał ożywać.

Gdy po tygodniu w szpitalu Abby z Emilie wróciły do domu, Luc zdążył już przygotować wszystko na przyjazd noworodka. Przekształcił swój gabinet w pokój dziecienny i wyposażył go w to, co mu przyszło do głowy. Abby stanęła w drzwiach i oniemiała. Gabinet był nie do poznania: stało tam łóżeczko dzieciinne, toaletka, wózek i jeszcze ze dwa tuziny najrozmaitszych zabawek. A wszystko udekorowane falbanami z białego i różowego tiulu.

- No to rzeczywiście zrobiłeś zakupy - powiedziała z podziwem.
- Powinniśmy byli przygotować wszystko wcześniej.
- Nie pomyśleliśmy o tym, prawda?

Teraz za to przyszedł czas, żeby pomyśleć, co będzie dalej. Abby nie chciała już dłużej żyć w zawieszeniu i niepewności. Położyli więc Emilie do jej nowego łóżeczka, przykryli mięciutkim białym kocykiem i przeszli do ogrodu porozmawiać.

Na dworze było pięknie, wciąż ciepło i słonecznie i Abby z ukłuciem żalu pomyślała, że przykro jej będzie to miejsce opuścić. Wiedziała, że będzie tęsknić do tych wszystkich dobrych chwil, które z Lukiem przeżyła, a także do tego wszystkiego, co mogli mieć, a nie mieli: wspólnego życia i miłości.

Chyba wciąż się nie rozumieli. Jej zdawało się, że musi stąd wyjechać, skoro Luc dotąd nie wspomniał ani słowem o przyszłości. On był zaskoczony, kiedy mu o tym powiedziała, lecz nie chciał sprzeciwiać się jej decyzji.

A tymczasem w Abby wszystko krzyczało z żalu. Pragnęła miłości, której najwyraźniej Luc nie potrafił jej dać. On zaś uparcie milczał.

- Dlaczego nic nie mówisz? - zawołała w końcu, zrozpaczona. - Nie powiesz mi chociaż „do widzenia”?

Dopiero teraz pękły w nim zapory, które od tak dawna blokowały jego uczucia i spontaniczność. Przyznał, jak bardzo paraliżuje go lęk przed utratą i przed ryzykiem, jakie niesie ze sobą miłość.



Jednak Abby nie chciała dłużej słuchać o jego obsesjach i lękach. Wiedziała, że przyszedł czas decyzji, od których zależeć będzie dalsze życie ich i ich dziecka.

- Wiem, że takie wewnętrzne odrętwienie czasem nawet daje pocieszenie - powiedziała. - Ja też tak się czułam, kiedy w pewnym momencie rozsypała się moja pianistyczna kariera. Tylko że w końcu trzeba się z tego otrząsnąć i iść dalej. Ty musisz wybrać. Wybierz życie i miłość, Luc. Wybierz mnie - dodała, patrząc mu w oczy.

Przytuliła go i czuła, jak bardzo jest rozbity i niepewny.

Opowiedział Abby o swoich rozterkach i o tym, jak bardzo bał się, żeby jej nie zawieść, nie zranić, nie rozczarować. Tak bardzo, że w końcu doszedł do wniosku, że może lepiej jej będzie bez niego.

- Dopiero gdy poszedłem do zamku...

- Poszedłeś do zamku?

Abby sama nie wiedziała, dlaczego dodało jej to nadziei.

- Tak. Wiesz, kiedy byłem ostatnio w Paryżu, miałem zamiar go sprzedać. Zdawało mi się, że w ten sposób zdołam zerwać z przeszłością. Wtedy transakcja nie doszła do skutku, bo Mireille zadzwoniła z wiadomością, że jesteś w szpitalu i natychmiast wróciłem. Ale ciągle bałem się uczuć.

- No, a teraz? Co się zmieniło? - zapytała cicho.

- Kiedy zobaczyłem cię w szpitalu, taką słabiutką i bladą... przeraziło mnie, że naprawdę mógłbym cię stracić. Byłem zaślepiony i głupi, Abby. Nie rozumiałem, że ani od przeszłości, ani od uczuć uciec się nie da. Tamtego wieczoru, gdy zostawiłem cię w szpitalu, pojechałem do zamku. Chodząc po pustych pokojach, pojąłem, że nie wolno mi go sprzedać. Wcale by mnie to nie uleczyło. Zrozumiałem, że uleczy mnie tylko jedno - twoja miłość. Dokonałem już wyboru: wybieram cię. Teraz jest tylko pytanie: czy i ty wybierasz mnie?

- Czy wybieram cię? - powtórzyła Abby z uśmiechem.

Ona nie miała wątpliwości. Czuła się jak w bajce, która po rozmaitych dramatycznych zwrotach akcji zmierza do szczęśliwego zakończenia.

- Tak - odpowiedziała po prostu, a Luc przytulił ją mocno i dopiero teraz poczuła się jak w domu.

W tym momencie ciszę rozdarł przenikliwy, dobiegający z domu płacz. Ktoś natarczywie domagał się ich uwagi.

## EPILOG

### *Trzy miesiące później*

Był już koniec września, wciąż było ciepło, lecz liście na drzewach zaczynały żółknąć.

Przed Château Mirabeau zaparkował samochód, z którego wysiedli Luc i Abby. W nosidełku mieli ze sobą Emilie.

Przeszli alejką do zamku, gdzie Luc przygotował dla Abby niespodziankę.

- Zamknij oczy - powiedział, kiedy weszli do środka i poprowadził ją przez amfiladę pokoi, aż dotarli na miejsce i poczuła na twarzy ciepły dotyk słońca.

Zanim otworzyła oczy, wiedziała już, co zobaczy.

Znajdowała się w wyremontowanym i odmienionym salonie muzycznym, gdzie na centralnym miejscu stał gruntownie odrestaurowany fortepian erard, a wokół niego półkolem krzesła i sofy. Wszystko przygotowane do małego koncertu czy spotkania muzycznego.

Z wahaniem podeszła do instrumentu. Nie grała już półtora roku, bała się, że wyszła z wprawy, lecz marzyła, by dotknąć klawiszy.

Luc trzymał ich córeczkę w nosidełku, a Abby zagrała.

Muzyka ogarnęła ich i czarowała swym uwodzicielskim pięknem. Popłynęły dźwięki Appassionaty, która jednak wcale nie wydawała się już smutna. Przeciwnie, brzmiała w niej namiętność i pragnienie życia.

Abby przymknęła oczy. W tej chwili muzyka była dla niej wszystkim, przepływała przez nią i ją tworzyła.

Luc słuchał w milczeniu, dopóki nie wybrzmiał ostatni dźwięk utworu. A kiedy Abby wstała od fortepianu, miała na twarzy ślady łez. To były łzy szczęścia.

Przeszli na taras, skąd rozciągał się szeroki widok na łąki i winnice Toussaint - całą posiadłość, która kiedyś miała należeć do Emilie - aż po płynący sennie w oddali Rodan.

Ptak zakwilił gdzieś w zaroślach. Abby chłonęła całą sobą spokój i piękno otaczającego ją krajobrazu. Wiedziała, że świat toczy się właściwym torem.



TLR